

OBY BYŁ TO WIELKI SEJM!

nasz komentarz — str. 2

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXXII ● NR 29 ● 16 VII 1989 r.

CENA 80 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

- OZONOWY DRAMAT
czy wakacyjny dylemat
- APETYT NA CZEREŚNIE
rzecz o zawodówkach
- SZKOLNE WĘDRÓWKI
dawniej i dziś
- DOM SENIORA
czeka na ofiarodawców

INDEKS-35923

PL ISSN-0017-1263



WŚRÓD LASÓW I JEZIOR zbrali się uczestnicy XVIII Ogólnopolskiego Zlotu Turystycznego. Jak odpoczywali — zobaczcie na str. 5 w fotoreportażu MARKA SUHECKIEGO.

SŁOWA WYTRYCHY

ALFRED MICHLER

Wyraźnie widać, że wykształcenia po raz kolejny nie doceniono.

Są słowa, których znaczenie się zmienia. Są również takie, które omijano, pomijano i wręcz eliminowano z naszego codziennego słownika. Do tych ostatnich należał jeszcze do niedawna strąk. Są wreszcie słowa fetysze, wytrychy, które mają (mieć) znaczenie wręcz magiczne i działać jak zaklęcie. Tu, bez popelnienia większej pomyłki, można wymienić demokrację.

Rezultaty okrągłego stołu pozwalają stwierdzić, że bliski jest dzień, w którym działacze spod znaku „Solidarności”

będą mogli oficjalnie rozwinąć swoje sztandary, a nie tylko demonstrować (np. przed kamerami TVP) swoje znaki firmowe. Jednakże, tak jak dziejów nie dyktują paragrafy, tak też nie ilość związków zawodowych lub nawet partii politycznych będzie czynnikiem automatycznie rozstrzygającym o naszej pomyślności. Bez względu również na to, ile związków zawodowych powstanie ostatecznie w środowisku oświatowym, nie może żadnemu z nich zabraknąć wyobraźni o następstwach i skutkach działań.

Błędy popelnilem i ja jako były szef MRZ ZNP, nie są pewnie od nich wolni moi następcy, prawdopodobnie nie uchronią się od nich także działacze innych związków. Chodziłoby zatem o to, aby działając w ramach ustawowych szerokich uprawnień — tych potknięć było w przyszłości jak najmniej.

Sprawa, którą przedstawiciele „Solidarności” słusznie kwestionowali, był nikiel zakres swobody działalności związkowej ZNP. Istotnie, uchwała Biura Politycznego z roku 1973 pozostawiła niewielki margines w tej sferze, a ówczesna centrala związkowa (CRZZ) taki układ aprobowała. Owoce były gorzkie. W październiku 1975 r. prezesowi MRZ ZNP na miejskiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR pod pretekstem przekroczenia limitu czasu odebrano głos akurat w momencie, kiedy podjął bardzo trudne problemy mieszkaniowe nauczycieli, a wystąpienie miało przecież dotyczyć tylko szkolenia ideowo-pedagogicznego tychże. Podobny moment przeżył poprzedni prezes. Dość szybko o tych sytuacjach zapomnieli jednak ci, którzy mieli wówczas sporo do powiedzenia w aparacie politycznym i nie upłynęło 5 lat, jak jedni z pierwszych zaczęli szalonywać ręce nad kruchością związków zawodowych.

KONFLIKTY

MARIA RYBARCZYK

RODZICE POWIE DZIELI: NIE!

— Z władzami dzielnicy w ogóle nie mamy zamiaru dyskutować, dotrzemy ze sprawą wyżej — powiedział zdenerwowany przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego, po czym ostentacyjnie opuścił zebranie. Na chwilę zapanowała cisza, zebrani spojrzeli po sobie z niedowierzaniem i tylko dyrektorka szkoły nie wydawała się zaskoczona. Zaprosiła do kontynuowania dyskusji.

Uczestnicząc w nadzwyczajnym zebraniu Rady Pedagogicznej Szkoły Podstawowej nr 314 w warszawskim osiedlu Tarchomin, dwa dni po uroczystościach zakończenia nauki. Już wakacje, ale w gronie pedagogicznym nastroje minorowe, młode w tej placówce grono pedagogiczne, z decydującą przewagą płci pięknej, smutne i zmartwiczone o los uczniów i własny po wakacjach. Wyszło bowiem na to, że trzeba będzie prowadzić zajęcia albo na korytarzach, albo przedłużyć naukę do godz. 22.00.

W tych warunkach o sensownej pracy wychowawczej, kulturalnej, rozrywkowej nie ma mowy. Tutaj uczniowie przychodzą jedynie „po naukę”.

Warunki pracy i bhp są poniżej jakiegokolwiek normy. Najlepsze siedlisko chorób wieku dziecięcego i nie tylko. Nauczyciele wyeksploatowani do granic wytrzymałości psychicznej i fizycznej. W tak uciążliwych warunkach 40 pedagogów realizuje 438 godzin ponadwymiarowych.

Mówi się tutaj głośno, że Ursynów to wyspa szczęśliwości w porównaniu z tar-





BUSH W WARSZAWIE

Tak witaliśmy późnym niedzielnym wieczorem w Warszawie 41 Prezydenta USA. Miło nam, że z takim sentymentem i serdecznością odniósł się On do wszystkich Polaków, naszego kraju, władz, z którymi na przestrzeni dwóch lat spotyka się po raz drugi oraz drogi, na którą jako naród wkroczyliśmy. Wizyta o takiej randze budziła w nas tym lipcowym letnim wieczorem nadzieje na coś więcej niż słowa sympatii. O ile te oczekiwania spełniły się — dziś już wszyscy wiemy. Jedno jest pewne — przemiany polskie zyskały równie entuzjastyczne oceny u szefów obu wielkich mocarstw, a to nie jest mało.

(Kal.)
Fot. CAF

PO PIERWSZYM POSIEDZENIU SEJMU X KADENCJI I SENATU

INTER REGNUM TRWA

Miesiąc temu zakończyły się wybory, odbyło się już pierwsze posiedzenie obu Izb nowego parlamentu, a okres zawieszenia, swego rodzaju inter regnum — trwa. Trudno udawać, że sprawy toczą się tak, jak byśmy sobie tego życzyli.

Rząd — zgodnie z tradycją — zgłosił już dymisję. Nowego utworzyć nie można, bo Zgromadzenie Narodowe nie powołało prezydenta. Wizyta szefa światowego supermocarstwa, na rezultaty której zresztą tak bardzo liczymy, odwleczając rozpoczęcie kształtowania władz państwa o kolejny tydzień.

A młot dziś nie jest przedmiotem w stanie przewidzieć, w jakim tempie te nowe władze będą powołane. Ze może to nie być sprawa łatwa, świadczyć przykłady nie tylko z Zachodu, także ostatnie doświadczenia Związku Radzieckiego je potwierdzają.

Do pierwszego sierpnia — kiedy to upływie termin zamrożenia cen i płac — czasu coraz mniej. Jak i czy zupełnie nowy gabinet da sobie radę ze wszystkimi konsekwencjami ekonomicznymi „wychodzenia” z okresu zamrożenia? Nie mam — niezależnie od ocen — pretensji do Rakowskiego o podjęcie tej dramatycznej decyzji, bo kto mądry byłby w stanie coś innego zaproponować? Tak naprawdę, to z obawą przychodzi patrzeć na kalendarz i choć wprawdzie nikt już w Polsce na żaden cud nie liczy — tęsknota za jakąś stabilizacją staje się coraz większa.

A dodajmy, że systematycznych, długofalowych działań domaga się gwałtownie nie tylko nasza kulawa gospodarka. Kto wie, czy nie równie ważne dla przyszłości stają się ostatnio problemy polityki zagranicznej. A konkretniej — sprawa naszych stosunków z RFN i Związkiem Radzieckim. Rząd RFN dość nagle zmienił swą politykę w stosunku do Polski. Świadczy o tym zarówno odczytanie na inny termin wizyty w Warszawie kanclerza Kohla jak i kolejna erupcja rewizjonistycznych żądań wysuwanych przez śląskie ziomkostwa, a wspieranych przez członków federalnego rządu. Trudno nie skojarzyć tych faktów ze zblizeniem między Moskwą a Bonn, szczególnie widocznym po wizycie Gorbaczowa, którego w RFN przyjmowano po królewsku. Nie jest to sytuacja, która może cieszyć kogokolwiek zamieszkałego między Odrą a Bugiem. Sojusze między Wschodem a Zachodem, zawierane nad głowami Polaków — nie są nowe i zawsze w przeszłości źle się kończyły nie tylko dla nas, ale i dla Europy. Interes nas wszystkich wymaga więc szybkich i energicznych działań nie tylko pro domo sua, ale także w dziedzinie polityki zagranicznej i to tej szeroko pojętej, a nie wyłącznie dotyczącej spraw naszego zadłużenia. Tymczasem parlament zawiesił działania po dokonaniu najpilniejszych prac proceduralnych. Widzieli to wszyscy zainteresowani sprawą, bo telewizja zaaplikowała nam dużą dawkę transmisji z posiedzeń obu Izb (na szczęście nie odbywał się w tym czasie żaden ekscytujący mecz, jak było w czasie zakończenia obrad „okrągłego stołu”).

Było to interesujące widowisko polityczne, choć muszę przyznać, że spodziewałam się bardziej jednoznacznych odczuć. Po tej pierwszej próbie jedno nie ulega wątpliwo-

ści: jeśli w tym Sejmie trafi się jakakolwiek uchwała przyjęta jednogłośnie będzie to ewenement, zresztą także w pozornie monolitycznym Senacie każda kwestia wywołuje bardzo żywe dyskusje. Dla porządku odnotujemy kilka ważnych spraw, załatwionych na pierwszym posiedzeniu. Na początku władze, Marszałek Sejmu wybrano Mikołaja Kozakiewicza (ZSL) — dodajmy, przed kilkudziesięciu laty pracownika „Głosu Nauczycielskiego”. Wicemarszałkami TERESĘ KATARZYŃĘ DOBIELIŃSKĄ-ELISZEWSKĄ (SD), TADEUSZA FISZBACHA (PZPR) i OLGĘ KRZYŻANOWSKĄ (Obywatelski Klub Parlamentarny). Marszałkiem Senatu jest ANDRZEJ STELMACHOWSKI a wicemarszałkami ZOFIA KURATOWSKA, JÓZEF ŚLISZ i ANDRZEJ WIELOWIEYSKI — wszyscy z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

Członkowie parlamentu złożyli ślubowanie (złożenie ślubowania przekształca elekta w posła lub senatora), a obie Izby przyjęły uchwały o ważności wyborów. Sejm zatwierdził także dekret Rady Państwa o zmianie ordynacji wyborczej do Sejmu X Kadencji i powołał Trybunał Stanu. Przypomnijmy, że jest to ciało, którego konstytucyjnym zadaniem jest orzekanie o odpowiedzialności osób zajmujących najwyższe w państwie stanowiska o naruszeniu konstytucji i ustaw, powoływane na pierwszym posiedzeniu Sejmu na okres jego kadencji z osób spoza grona posłów. Przewodniczącym Trybunału jest z urzędu I Prezes Sądu Najwyższego, którą to funkcję sprawuje obecnie Adam Łopaciński. Senat zaś zajął się tworzeniem regulaminu, wzorując się na obowiązującym w Sejmie i skoncentrował dyskusję na sprawie powołania komisji.

Tak w Sejmie jak w Senacie byliśmy świadkami pierwszych śpięć, gorących wymiany poglądów, a także pierwszych, nie przewidzianych porządkiem obrad, interpelacji. Szczególnie ciekawy fakt, że na incydent, jakim było brutalne rozepędzenie nielegalnej demonstracji odbywającej się przed gmachem Sejmu — zareagowano z oburzeniem w obu Izbach; już na swym pierwszym posiedzeniu nasz parlament stanął w obronie ludzkich praw.

Wypada na koniec bliżej przyjrzeć się naszemu przedstawicielstwu. Na początek Sejm. Wśród 460 posłów są tylko 62 kobiety. Aż dla 422 posłów jest to pierwsza kadencja — było już na Wiejskiej w VII kadencji 5 osób, w VIII — 6, w IX kadencji — 32. W Sejmie rekordzistą pod tym względem jest poseł Jan Janowski (SD), który ma za sobą 3 kadencje (VII, VIII, IX) absolutnym rekordzistą parlamentarnym jest senator Edmund Osmańczyk, który posłował (choć w innych barwach) od V do VIII kadencji. Wśród posłów jest 77 inżynierów i techników, 37 rolników i leśników, 41 pracowników naukowych, 38 nauczycieli, 21 dziennikarzy i 27 prawników. Wyższym wykształceniem legitymuje się 372 posłów, a podstawowym 2.

Polityczna mapa Sejmu jest tym razem wyjątkowo różnorodna i żadna z sił nie ma bezwzględnej większości. W szczegółach wygląda to tak: PZPR — 173 posłów, okp. — 161, ZSL — 76, SD — 27, PAX — 10, UChS — 8, PZKS — 5. Dodajmy, że jest to układ wynegocjowany przy „okrągłym stole”. Wszyscy ci posłowie skupieni są w odpowiednich klubach z tym że Obywatelski Klub Parlamentarny grupuje także senatorów. W Senacie — dodam — znalazł się tylko jeden niezrzeszony — Henryk Stokłosa z woj. piłskiego.

Jeśli już jesteśmy przy Senacie. Na pierwszym posiedzeniu obradował on w niepełnym składzie, gdyż przed inauguracją zmarł prof. G. Białkowski. Pracowników naukowych wśród senatorów jest 26, rolników 13, prawników 10, lekarzy 6, pisarzy 7, emerytów i rencistów — 12.

Najstarszym członkiem naszego parlamentu jest senator Stanisław Stomma (81 lat), najmłodszym — poseł Janusz Okrzeński (25 lat). W Sejmie najliczniejsza wiekowa grupa (211 posłów) mieści się w przedziale 40 do 49 lat, w Senacie — od 60 do 69 lat (32 osoby). Związkowych posłów z OPZZ znalazło się w Sejmie 13. Trudno jednak szczególnie nad tym ubolewać. W ubiegłej kadencji było ich ponad 50 i nie udało się za ich pośrednictwem przeformować żadnej inicjatywy ustawodawczej. Myślę więc, że w tym Sejmie, w którym nikt nie ma bezwzględnej większości, a więc trzeba będzie w każdej sprawie „dogadywać się” z innymi ugrupowaniami, szukać sojuszników — dyscyplina klubowa będzie tak silna, iż i tak nie dopuści do żadnych dodatkowych inicjatyw.

MARIA KALIŃSKA

OPZZ:

▲ Początek konsultacji w sprawie
urynkowania gospodarki żywnościowej

▲ Jak ma działać ruch związkowy w
nowej sytuacji?

Obradował Komitet Wykonawczy i Rada OPZZ. Było to pierwsze w nowej, stworzonej wynikami wyborów sytuacji — spotkanie tych gremiów związkowych. Na porządku dziennym dwie jakże ważne sprawy: sytuacja po wyborach i podjęcie działań przez „Solidarność” oraz wstępne konsultacje założeń urynkowania gospodarki żywnościowej. Najpierw może o tej drugiej sprawie.

Z ZAŁOŻENIAMI i przewidywaniami skutków tego kroku oraz sposobem konsultacji zapoznali Komitet Wykonawczy ministrowie do spraw związków zawodowych, Józef Oleksy i finansów, Andrzej Wróblewski. Zaczęło się od ostrej polemiki, gdyż min. Oleksy szczególnie nacisk położył na kwestię jak najszybszego tempa przeprowadzenia konsultacji, gdyż rząd musi mieć czas na podjęcie kroków, zmieniających dotychczasową sytuację; 1 sierpnia bowiem sytuacja nie może wyminąć się spod kontroli, bo mogłoby to mieć nieobliczalne skutki.

Prowadzący obrady wiceprzewodniczący Martyniuk przypomniał, że ustawowo związki mają miesięczny okres na konsultację, tymczasem dokument, datowany w marcu, przedstawił się KW dopiero 5 lipca, żądając natychmiastowego ustosunkowania się. Wrócił również sprawa indeksacji, która w formie rządowego projektu ustawy została skierowana do Sejmu na podstawie niepełnych uzgodnień związkowych, oraz zamrożenia cen i płac. To ostatnie stanowi — zdaniem zebranych — naruszenie ustawodawstwa pracy. Minister wyjaśniał, tłumaczył i apelował o zrozumienie. Stanęło na tym, że OPZZ — rozumiejąc wyjątkową sytuację — przedstawi swą opinię w kwestii urynkowania do 25 lipca (to już decyzja Rady OPZZ, która obradowała następnego dnia).

Do sprawy urynkowania będziemy oczywiście wracać. Więc teraz tylko kilka informacji, zaczerpniętych z wystąpienia min. Wróblewskiego. Rząd szacuje, że po 1 sierpnia ceny żywności wzrosną o 80 proc., a ceny mięsa (oczywiście po zniesieniu kartek) w granicach 100—120 proc. Jak ten ruch odbije się na cenach pozostałych artykułów rynkowych — nikt w rządzie nawet nie próbuje prognozować.

Proponuje się wypłatę zaliczkową dla wszystkich zatrudnionych w wysokości 80 proc. przewidywanego wzrostu cen urzędowych żywności, płaconą w chwili wejścia w życie urynkowania. Na pytanie z sali, co z pracownikami sfery budżetowej, minister odpowiedział, że obejmie ich zaliczka na poczet przewidzianej ustawą waloryzacji uposażeń.

Głównym problemem do konsultacji nie jest samo urynkowanie, o którym zdecydował „okrągły stół”. Jest natomiast sprawa uzgodnień „koszyk” objęty rekompensatą to, co do niego włożymy, a także systemem działań osłonowych oraz termin przeprowadzenia całej operacji. Rząd zdaje sobie sprawę, że od operacji urynkowania, żywności nie przybędzie, stwarza ona natomiast szansę, że mniej więcej za 2 lata będziemy mieć normalny rynek żywnościowy.

Największe obawy dyskutantów budziły same skutki wzrostu cen (migdy dotąd rządowe w tym względzie prognozy się nie sprawdziły), społeczne reakcje na drastyczną obniżkę stopy życiowej oraz sytuacja najsłabszych grup ludności. Tym bardziej że zapytany wprost, kto zyska a kto najwięcej straci, minister odpowiedział: „Straci część rolników, tych najgorszych, stracą ludzie zatrudnieni w przedsiębiorstwach, które nie będą miały pieniędzy, najtrudniej będzie w obszarze rent i emerytur. Zyskać mogą ci, którzy obecnie zaopatrują się na targowiskach, bo tam ceny są niższe”.

A wracając jeszcze do opinii wygłaszanych na temat zamrożenia cen i płac. Wyrażono i taką obawę, że 1 sierpnia płace w sferze produkcji gwałtownie skoczą, co nie znajdzie odbicia w waloryzacji, dokonywanej w sferze budżetowej. Może to doprowadzić do dalszego upośledzenia oświaty i służby zdrowia.

TERAZ KILKA zdań na temat sytuacji w ruchu związkowym, spowodowanej wy-

nikami wyborów. Tu dodam, że kandydaci z listy krajowej uważają, że ich przegrana jest także skutkiem polityki informacyjnej państwa (ani razu np. — mimo obietnic — OPZZ nie uzyskał w kampanii wyborczej czasu w I pr. telewizyjnej). W wyniku zaś rejestracji „Solidarności” — ruch OPZZ zyskał partnera, którego oby nie stał się konkurentem. W tej chwili sytuacja jest taka, że praktycznie działalnością związkową, socjalną — zajmują się związki zrzeszone w OPZZ. W tym, że robią to na ogół nieźle, należy upatrywać powód, że nie obserwujemy odpływu członków. Pierwszym zadaniem jest jednak intensyfikowanie działań, gdyż każdy błąd może nas kosztować bardzo wiele.

Rozważano kwestię, czy struktury związkowe są dobrze dostosowane do stojących przed ruchem zadań. Struktury — mówiono — obowiązujących u nas obecnie, też sami nie wymyśliśmy, a narzucała nam ustawa lub inna polityczna decyzja. W sytuacji, gdy mamy działającego w sposób scentralizowany partnera, czy ostoją się związki zakładowe, niewielkie federacje? Z troską o losach kilku związków w nauce mówił np. Stanisław Koperski.

Sporo miejsca poświęcono także sprawie WPZZ, które — jak wiadomo — od chwili powstania budzą wiele wątpliwości (powoływano się np. na losy tych struktur w przeszłości). Ale jednocześnie, zauważano, następują zmiany modelowe w systemie kierowania państwem, coraz większą rolę nabierają lokalne władze, samorządy; kto będzie tam, w terenie, skutecznie reprezentował interesy ludzi pracy?

Padły głosy, że wobec ogromu zadań stojących przed ruchem związkowym, należałoby przyspieszyć zwołanie Kongresu. W tej, a także w żadnej sprawie dotyczącej struktury nie podjęto decyzji, a postanowiono skierować ją do konsultacji ze związkami.

NA ZAKOŃCZENIE warto odnotować jeszcze dwie sprawy. Pierwsza — to sporo uwag krytycznych pod własnym adresem. Wymienię tu podnoszoną przez kilku dyskutantów sprawę stosunku związkowców do wzrostu cen. W ogóle to jesteśmy przeciw — mówili — ale kiedy chodzi o podwyżkę ceny produktu wytwarzanego w naszym zakładzie, z radością akceptujemy każdą w tej sprawie propozycję. I sprawa dyscypliny związkowej: Komitet Wykonawczy zaczął obrady przy niewielu przekraczającej 50 proc. frekwencji, po południu zaś nawet tego wąskiego quorum już nie było. Zażądano wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do niedyscyplinowanych.

Alfred Miodowicz zaś postawił przed Radą kwestię swego rodzaju wotum zaufania do siebie oraz całego kierownictwa OPZZ, prosząc jednocześnie — w przypadku akceptacji dotychczasowych działań — o większe pełnomocnictwa, konieczne często przy wielostronnych pertraktacjach. Tak wotum zaufania jak pełnomocnictwo mu udzielono, stając na stanowisku: „kongres wybierał — kongres rozliczył”. Nie mogło jednak pominąć poruszonej przez kilku dyskutantów kwestii jego członkostwa w Biurze Politycznym KC PZPR. Wyповідаjący się na ten temat wskazywał, że ruch związkowy musi być otwarty dla wszystkich; a członkowie partii należący do 7 milionowych związków, stanowią zaledwie 1 700 tys. liczącą jego część; nie powinni więc być wspierani w swych dążeniach przez przynależność szefa OPZZ do najwyższych władz PZPR. Niech swe oddziaływanie na ruch związkowy realizują bez takiego instytucjonalnego wsparcia.

(Kal.)

DZIENNIKARZ „GŁOSU” LAUREATEM NAGRODY SD PRL

Miło nam poinformować, że wśród tegorocznych laureatów nagród, ufundowanych przez Stowarzyszenie za publikację w kategorii oświata i wychowanie, znalazł się nasz redakcyjny kolega, red. Witold Salański. Otrzymał II nagrodę Klubu Publicystów Oświatowo-Wychowawczych Stowarzyszenia. Gratulujemy nagrody i oby tak dalej!

JERZY KRAŚNIEWSKI

APETYT NA CZEREŚNIE

Apetyt współczesnych sportowców na zwycięstwa okazał się tak wielki, że lekarze wymyślili między innymi sterydy. Nabierają wówczas mięśni i sprawności.

Apetyt naszych szkół zawodowych na sukcesy jest zapewne nie mniejszy. Zaspokaja się go jednak głównie nowymi przepisami. Ową napędzacz miał dać wszystko: opiekunów, sponsorów, kooperantów, wreszcie pieniądze. Ale lata płyną, a rezultatów nie ma. Zawodówki wciąż chudną. Maszyny się starzeją, surowców na lekarstwo, narzędzi brak, dobrych fachowców trudno utrzymać. Znaczący przedmiot twierdzą, że wśród składników decydujących o kondycji zabrakło zasadniczego elementu: PS — pełnej samodzielności.

Ze apetyt jest, a możliwości jego zaspokojenia są małe, przekonałem się raz jeszcze w Zespole Szkół Zawodowych w Wyszku. Przechodząc idąc główną, najszerszą ulicą tego miasteczka, gdzie na dwóch skrzyżowaniach regulują ruch, jak w Warszawie, światła sygnalizacyjne, nie zdaje sobie sprawy, co kryje kilka białych budynków położonych po obydwu stronach. Dyrektor, Chwałisław Mańko, widząc moją reakcję na informację, że uczy się tu 1830 uczniów pod opieką 165 nauczycieli, spokojnie dodaje, że było ongiś rojniej. Dziś tylko 64, kiedyś 73 klasy trzeba było upełnić w tych samych pomieszczeniach i to na trzy pełne zmiany. Ale kto wie, czy tym razem nie pobił się tego rekordu. Wyż demograficzny jest już u progu. W najbliższym roku przybędą wprawdzie tylko dwie klasy, ale w następnych może być ich więcej, a budować nie ma za co.

Ta olbrzymia grupa młodzieży zdobywa kwalifikacje w co najmniej 22 zawodach w technikach i szkołach zasadniczych. Jest tu kierunek drzewny, metalowy i budowlany, klasy przysposabiające do zawodu i wielozawodowe, gdzie obok piekarzy są fryzjerki, kucharki, sąsiaduje z kosmetyczką czy krawcową.

Jak w czasach takiej płynności kadr, reorganizacji w przemyśle, powstawania i zanikania placówek państwowych, spółdzielczych czy prywatnych, można z sensem rekrutować do poszczególnych specjalności? Globalnie planowaniem tego kształcenia w woj. ostrołęckim próbuje się zajmować kuratorium. Stamtąd przychodzi dyspozycja. Szkoła może przyjąć ucznia wraz z pismem potencjalnego pracodawcy. Nie można kształcić na wyrost, choć i tak połowa absolwentów niektórych klas, a bywa, że i więcej, nie podejmuje pracy w wyuczonym zawodzie.

Miejscowa rada narodowa w ogóle się tymi sprawami nie zajmuje. Od dwóch lat próbuje się opanować żywioł na tym polu, ale np. GS „Słowianka” zgłasza zapotrzebowanie na trzech masarzy i dwóch piekarzy, a przysyła kilku więcej. Podobnie postępują inne firmy. W sumie obok dwóch klas wielozawodowych powstała trzecia — nieplanowana. Ale co ma robić dyrektor? Powiedzieć — nie? Gdzie odesłać chłop-

ców czy dziewczyny, gdy najbliższe szkoły zawodowe znajdują się o 40 — 50 kilometrów?

Najbardziej stabilnie układa się sytuacja w branży drzewnej. Dla Wyszowskiej Fabryki Mebli kształci się trzy klasy. Część młodzieży wędruje jednak do podwarszawskiego Wołomina, gdzie są duże

zakłady Stolbudu. Zabronić nie można, zwłaszcza, że tam lepiej płacą.

W branży metalowej filia FSO (produkuje zespoły napędowe), wraz z centralą w Warszawie, wchłonięły wszystkich absolwentów. To oni ufundowali 140 stypendiów (11 tysięcy miesięcznie), aby zachęcić młodych do podjęcia pracy po dyplomie.

Na wszystkie potrzeby szkoła dysponuje sumą 250 mln zł. Średnio na jednego ucznia przypada około 136 tys. zł. W tej kwocie mieści się internat (280 osób), remonty, materiały dla warsztatów itp. Tylko na grubsze remonty trzeba od ręki 100 mln, o czym więc tu mówić. W maju przestali wysyłać ludzi na delegacje, bo nie było z czego płacić.

W Wyszku uważnie śledzą możliwości dodatkowego zarobienia, tyle potrzeba na wszystko. Kazimierz Calina, kierownik warsztatów drzewnych, oprowadzając mnie po swoim rozległym gospodarstwie kilka razy podkreśla, że w tej branży o kooperacji trudno mówić. Oni w każdym bądź razie takich możliwości nie mają. Wprawdzie pod bokiem fabryka mebli, ale tam potrzebują ludzi, bo produkcja idzie niemal taśmowo. Robią więc kompletne wy-

roby dla CEZAS. Oglądałem zgrabne biurka i wysokie stolki. Są też łóżka.

Prawdę mówiąc mogliby więcej zarobić, gdyby mieli własny sklep. I asortyment mogliby być znacznie bogatszy. Lokując wszystko w CEZAS tracą niezłą marżę. Zbyt na wyroby z drewna jest zapewniony. Dwa razy w tygodniu odbywa się tu targ. Ludzie z okolicznych wsi rozkupiliby wszystko. Ale regulamin warsztatu nie przewiduje sklepu.

Wszędzie słyszę narzekania na przepisy. Albo coś blokuje, albo często się zmieniają. Kiedyś zamówienia na drewno posyłali do Bydgoszczy. W ubiegłym roku producenci powiedzieli — nie! Tylko zakłady w Nidzie uwzględniły połowę zamówienia na płyty wiórowe. Przy tym wszyscy żądają wsadu dewizowego. Gdyby nie fabryka mebli, która odstąpiła małą końcówkę swych zasobów, warsztaty po prostu nie miałyby co robić. W tej współpracy coś się jednak zmieniło. Poprzedni wieloletni dyrektor miał więcej zrozumienia dla szkoły. Nowy jakby inaczej myśli i kalkuluje. Tymczasem, jak niewiele szkole potrzeba, niech świadczy fakt, że materiały, które fabryka odstąpiła, wystarczają na cały rok szkolny, a w zakładzie zapewniają zaledwie 2 — 3 godziny produkcji. Takie to są wielkości. Zastanawiają się więc poważnie, czy nie kupować na rynku dolarów, aby później wkałkulować ten koszt w cenę wyrobów. Jaka to będzie cena? Czy rynek ją przyjmie?

Z narzędziami jest jeszcze gorzej. Za pilę z widiowymi nasadkami, niezbędną do cięcia płyt wiórowych żądają wkładu dewizowego. Regeneruje się więc stare, ale ich jakość i wytrzymałość jest daleka od oczekiwanej. Rynek przybrał dziwny kształt. Jest to raczej usankcjonowana prawem spekulacja niż normalny zdrowy handel. W Bielsku-Białej powstały różne spółki. Ale one nie produkują, lecz wykupują hurtowo m. in. noże tokarskie i zamiast po 300 zł, jak kosztowały w sklepie, żądają po 1500. I nie ma wyjścia. Przy najmniej dziś. Inne spółki wykupują hurtowo narzędzia zmechanizowane i po dodaniu torby, miarki, młotka itp. biorą za komplet dwa razy tyle. Czy szkołę stać na takie zabawy?

Nieco lepiej dzieje się w warsztatach mechanicznych, którymi kieruje Zygmunt Różański. Mają kooperantów. Robią dla nich 130 detali, których produkcja fabrykom się nie opłaca. Takie nieopłacalne detale produkują dla FSO. Gdyby kooperant sam je wykonywał, koszt jednej sztuki byłby bardzo wysoki, ponieważ godzinna praca wykwalifikowanego pracownika kosztuje 6000 zł. Za tę sumę musiałby on wykonać 100 sztuk takich, jakie robią w szkole. Żaden z nich nie chciałby pracować tak szybko. Uczeń robi to wolniej i szkole musi się taka robota opłacać, ponieważ praca ucznia jest, jak się uważa, darmowa.

Słowem, robota jest wtedy, gdy, znajdując fabrykę z materiałem. Owa współpraca nawet z najlepszym kontrahentem ma kilka twardzi, czasami tyle, ile u Świątka. Uczeń nie tylko produkuje. On się także uczy. Nie wszyscy chcą to uwzględnić. Na przykład zakłady Ponar-Remo przekazują X kilogramów drugiej chromowanej stali i domagają się, by wytworzone z niej sworznie ważyły tyleż samo. A jeśli chłopak zepsuje detal? Wszak on dopiero nabiera wprawę.

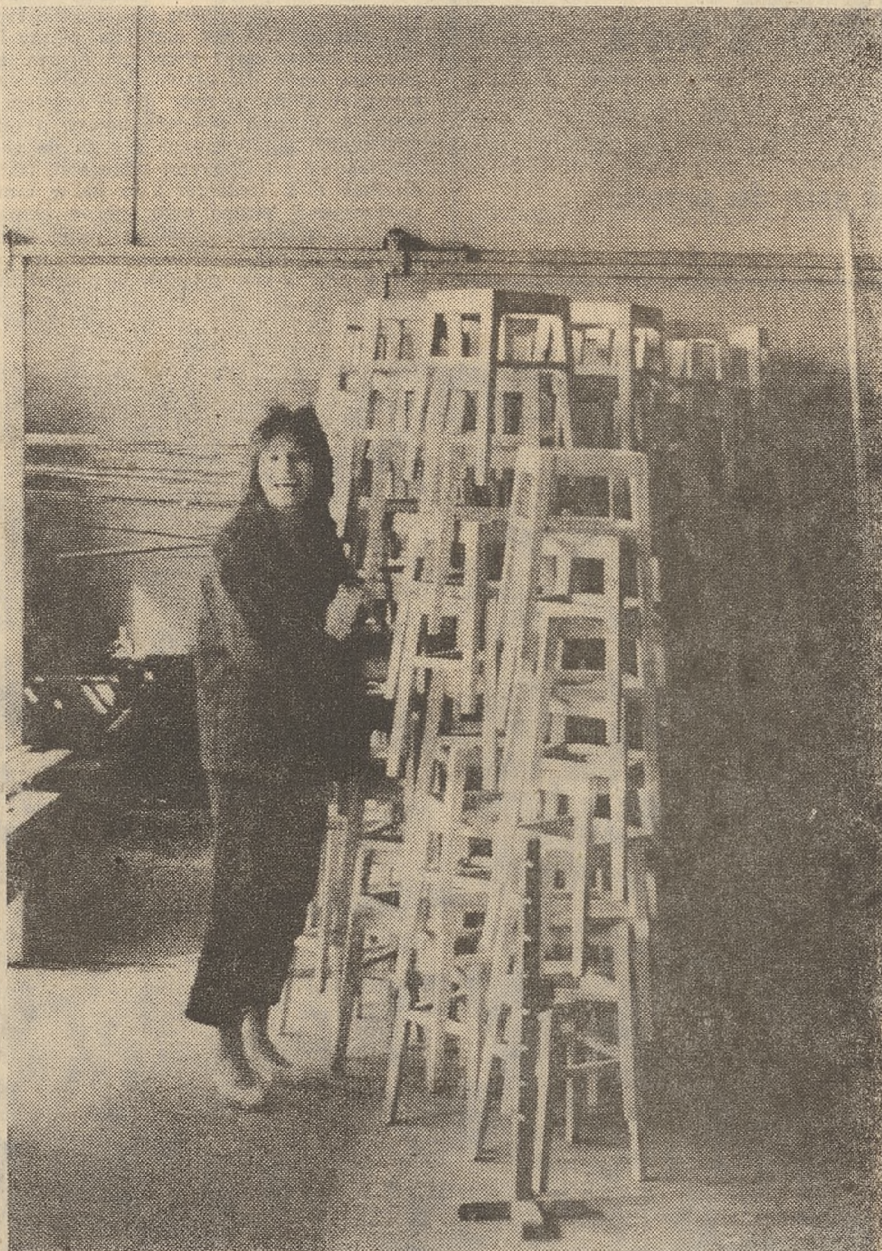
Oczywiście, gdyby mieli własne materiały, można by zarobić i to немало. Na przykład, są przygotowani do wytwarzania niektórych typów maszyn rolniczych. Niedawno kontrahent z USA gotów był zamówić sruby w układzie całowym po pięć dolarów za sztukę, ale z własnego materiału. Skąd go wziąć i do tego odpowiedź nie oprzyrzadowanie? Robota wymknęła się z rąk. Zamierzali zrobić interes z odpadów. Ale za odpadowe trójkąty blaszane grubości 1,4 mm żądano od szkoły 470 zł za kilogram. Ile musiałby kosztować wyrób? Zrezygnowali.

Bardzo łatwo kreśli się „na górze” ekonomiczne miraży dla szkół zawodowych. Może jest tak w branży elektronicznej, może łatwiej zarobić w Warszawie czy Katowicach. W takich małych miasteczkach, jak Wyszów, z takim zapleczem przemysłowym, z pewnością nie. Jeśli chce się produkować, trzeba inwestować. Tu nie ma szans, choć są możliwości techniczne.

★

Niedawno pisałem o perspektywach wyszkowskiej oświaty po rozmowie z tamtejszym naczelnikiem miasta i gminy („Z budżetem jak z pogodą”, „Głos” nr 16 z br.). Pytam więc dyrektora Mańko, ile mu z miejscowej kasy przybyło do „chudego” budżetu, który otrzymał od wojewody przed przekazaniem szkoły naczelnikowi. Okazuje się, że ani grosza. Wojewoda nie przekazał radzie narodowej niczego oficjalnie na piśmie. Wobec powyższego radni uznali Zespół Szkół Zawodowych za jednostkę podległą Ostrołęce i przy podziale nadwyżki budżetowej nie uwzględnili potrzeb szkoły. Marzenia o remoncie, poprawie warunków pracy uczniów — rozplynęły się. Może w przyszłym roku szkolnym będzie lepiej?

Fot. Autora



Stolki z Wyszowa podobają się w CEZAS.

Internat dla dziewcząt tonie w słońcu.



PO PIERWSZE KSIĄŻKA...

Trudno uwierzyć, aby coś szło do przodu

W drugiej połowie XVIII wieku jeden ze współtwórców Komisji Edukacji Narodowej — Stanisław Konarski — jako swoje remedium na problemy ówczesnej oświaty przepisał następującą receptę: „Do nauczania i uczenia się konieczne są trzy środki pomocnicze: po pierwsze książki, po drugie książki i po trzecie książki. Bez nich usiłowania nasze pójdą na marne”.

Nie przypadkiem przytaczam tutaj te słowa. Otóż, poinformowano nas ostatnio, że — w ramach stawiania spraw z głowy na nogi — uczniowie będą się zaopatrywać w podręczniki nie w szkole, jak to ostatnio bywało, ale po prostu w księgarniach. Rozwiązanie zaiste godne Salomona i aż dziw, że dopiero teraz odkryto tego typu możliwość. Gorzej, że przywołanie tu imienia króla żydowskiego wiąże się nie tyle z jego przysłowiową mądrością, ile z potocznym powiedzeniem, głoszącym, iż z puścigo i Salomon nie należy. A tymczasem książek dla uczniów brakuje. Od kilku lat panuje taka posucha, że trudno wprost uwierzyć, by miało coś nagle ruszyć do przodu. Pamiętne, acz w stu procentach spektakularne posunięcie byłej pani minister oświaty, miało sprostować temu problemowi, nigdy jednak — mimo oficjalnej oceny tego zagadnienia — owo podręcznikowe „wąskie gardło” nie przestało istnieć, a obecnie zacieśnia się w stopniu — miejscami — zagrażającym egzystencji i tak ledwie dychającej naszej biednej oświaty.

Przypomnijmy, iż koncepcja pani Michałowskiej-Gumowskiej opierała się na zasadzie ciągłej rotacji podręczników, które jednocześnie — jakkolwiek na co dzień użytkowane byłyby przez uczniów — stanowiły w rzeczywistości własność szkoły. Pamiętamy, że po roku nauki każdy uczeń musiał komplet używany zwracać szkole (w wypadku zniszczenia jakiegokolwiek książki musiał ją po prostu odkupić), a po trzech latach do szkoły miały trafić zupełnie nowe książki, co łącznie ze starymi miało przyczynić się do powstania wcale niezłej bazy podręcznikowej, nie lekającej się kataklizmu w rodzaju kolejnego wyżu demograficznego. Miało, za spokojniejszy indywidualne potrzeby ucznia poprzez oddanie każdemu uczącemu się po jednym egzemplarzu danego podręcznika do domu, stanowić przyczynę powstania jakby „drugiego garnituru” podręczników, które znajdowałyby się w szkole. Dzięki temu uczniowie nie musieliby dźwigać swoich książek do szkoły w — i tak przecież przeładowanych — tornistrach.

Miało tak być... I pewnie by było, gdyby nie kilka nieobiektywnych zgoda przyczyn.

Po pierwsze, dokładnie z roku na rok było coraz gorzej, nie zdołano zapewnić kompletu podręczników w każdej szkole i dla każdego ucznia. I owszem, książki do wychowania plastycznego czy wychowania muzycznego walały się po dziś dzień w wielu szkołach, zajmując niepotrzebnie miejsce w szkolnych bibliotekach, nieużyteczne, gdyż z wielu przyczyn zrobił się z nich już nie drugi, ale wręcz „trzeci garnitur”. Program tych przedmiotów raczej się nie zmieniał, a jeśli już to w doprawdy niewielkim stopniu, którego odbicie w odpowiedniej książce było raczej żadne. Ponadto specyfika pracy na tego

W ten oto sposób nie dość, że nie można było doczekać ze swoim kompletem do następnej wymiany (ta miała następować co trzy lata), szkoła nie mogła utrzymać tego, co posiadała na początku. W efekcie zamiast zbierać i kompletować pełne zestawy podręczników i to w dwóch wersjach (domowej i szkolnej) trzeba było szukać i kombinować, skąd by tu wytrzasnąć tyle książek, żeby przynajmniej co drugi uczeń odpowiednią pozycję posiadał.

Po trzecie — radosna, niekiedy, twórczość naszych programistów oświatowych, a także wciąż jeszcze płynny punkt widzenia odnośnie zagadnień najnowszej historii, powodują, że część podręczników po prostu szybko się dezaktualizuje. Wspomniane zmiany uwzględniane na bieżąco powodują nieznośny bałagan na lekcji, kiedy to trzeba niemal za każdym razem ustalać co, w jakim podręczniku, na jakiej się znajduje stronie. Nie pomaga to naszej codziennej nauczycielskiej egzystencji, o której powszechnie przecież wiadomo, że do usłanej różami nie należy.

Na to wszystko, ni z tego, ni z owego spada na nasze głowy informacja odnośnie indywidualizacji zakupu książek. No dobrze, powiedzą zapewne rodzice, w porządku, przyzwyczailiśmy się do wielu rzeczy, ale gdzie to jest napisane, że my te książki dostaniemy? Zwróćmy uwagę, że znaczna część dzisiejszych rodziców naszych uczniów, to byłe dzieci kolejnych epok, w których zdobycie kompletu odpowiednich podręczników z roku na rok równało się z podobnymi zabiegami, jakie czynimy dziś. Dodajmy i to, że w tamtych czasach można było jeszcze zaopatrzyć się w książki „z drugiej ręki”. Obecnie owa „druga ręka” niemal nie wchodzi w grę. A tak w ogóle, to pomysł in-

coraz większej liczby magnetowidów w naszym kraju, przy jednoczesnym poszerzaniu i pogłębianiu możliwości korzystania z kaset, powoduje wśród wielu odruch odrzucenia książki na rzecz programu oferowanego przez rynek wideo. Nie trzeba chyba dodawać, że najbardziej „głodną” tego specjału jest właśnie młodzież oraz dzieci, których to, nawiasem mówiąc, tak często i tak beztrudno, „podłączamy” do domowego sprzętu audiowizualnego, żeby choć na czas bajki czy filmu dały nam święty spokój.

A co odnajdujemy po drugiej stronie? Cóż, niewiele, bardzo niewiele albo zgola nic. Problem powyższy staje się szczególnie tragiczny w szczególności na wsi. W miastach i w bibliotekach miejskich jest sporo, i w bibliotekach szkolnych można znaleźć co nieco, i w domach — wreszcie — tu i ówdzie stoi na półkach tych kilkanaście czy kilkadziesiąt książek. Wiejskie domy to najczęściej książkowa pustynia. Niebawą! rzadkością są ściany zastawione regałami. Najczęstszym obrazkiem jest kupka zacytanych komiksów, kryminałów, romansów czy historii wojennych. Najgorzej zaś, że podobny wygląd posiadają także niektóre biblioteki szkolne, zwłaszcza te w szkołach najmniejszych, ze wsi niewielkich, gdzie i do biblioteki publicznej daleko, i w okolicy nikt książek w domach nie posiada. I proszę mi wierzyć, nie wynika to wcale z jakiejś opieszałości dyrekcji danej szkoły czy, tym bardziej, nauczycieli. Nie jest też stan ów spowodowany pustymi półkami w księgarniach, które zapełniły się przecież ostatnio dość obficie i to nawet tak bardzo potrzebnymi w szkole lekturami. Przyczyna jest nad wyraz prozaiczna — jest nią po prostu brak pieniędzy. W dobie naszych nieustannych zmian najbardziej tra-



Fot. M. Suchecki

typu lekcjach (w dodatku zwykle raz w tygodniu) nie wymagała ciągłego korzystania z tychże podręczników, co w sumie powodowało rzeczywiście małe ich zużycie. W wypadku innych przedmiotów było jednak gorzej. Szczególnie, gdy klasa, której rocznik akurat pobierał dany komplet podręczników, liczyła o połowę mniej uczniów aniżeli klasa, która miała po niej nastąpić. Zamawiać na wyrost nie było przecież można. Zresztą z czasem okazało się, że żadna liczba zawarta w zamówieniu nie była po prostu respektowana i do szkoły przychodzić poczęły namiastki tego, co było w rzeczywistości potrzebne.

Po drugie — „solidność” czy raczej — powiedzmy wprost — niechlujstwo i tandetność wykonania większości podręczników powodowały, że znaczna ich część rozsypuje się w pierwszych miesiącach nauki. Pozostałe zaś prędzej lub później dobiegały do takiego stanu rzeczy i też stawały się mało przydatną makulaturą. I trudno w tym wypadku obwiniać uczniów, oskarżając ich o brak kultury czy szacunku do książki. Z tą kulturą, co prawda, rzeczywistość bywa różnie, tyle tylko, że niestety kształtuje się ona między innymi w oparciu o wzory, jakie otaczają naszą młodzież. Jednym z tego typu wzorców jest wszechpoteżny bubel, a jednym z jego przykładów jest właśnie szkolny podręcznik. Czy można wymagać szacunku dla bubla?

dywidualnego zaopatrywania się przez uczniów w podręczniki szkolne nie jest wcale także i dzisiaj czymś szczególnie nowym. Wielu bowiem rodziców widząc, że dziecko otrzymało ze szkoły tylko część potrzebnych książek i to przeważnie w wersji „do składania”, uganiało się po całym kraju, żeby swoim pociechom co tylko się dało skombinować. I kombinowało się, bo dobro dziecka, to rzecz, jak wiadomo, najważniejsza.

Skoro jesteśmy przy temacie. Brakuje przecież we współczesnej szkole nie tylko podręczników. Brakuje książek do czytania. I nie tylko o lekturę tu chodzi, lecz o książki do czytania, do czytania dla przyjemności, do oddawania się lekturze, do czerpania zadowolenia z tej właśnie możliwości, do której tak usilnie stara się przygotować swoich wychowanków szkoła. Inwazja telewizji wywołała swego czasu prorocze wizje głoszące definitywny koniec książki. Podobnie rzecz się miała w związku z narodzinami kina. A przecież książka oparła się i wciąż jeszcze egzystuje jako jedna z najwierniejszych towarzyszek niejednego ludzkiego żywota. Poważnemu kryzysowi książkowemu, jaki obserwowaliśmy przez kilka ostatnich lat, przy drastycznych podwyżkach cen i ciągłym braku najbardziej interesujących pozycji w księgarniach i w bibliotekach, towarzyszyć zaczął coraz bardziej dynamiczny rozwój rynku wideo. Pojawienie się

ca przed wszystkim ci, którzy i tak potrzebują najwięcej. To prawda, że w dużych szkołach nie zawsze (a raczej nigdy) można było znaleźć wszystkie potrzebne pozycje. To prawda, że i miejskie dzieci uczące się w ciepłych jasnych salach powinny mieć szansę kontaktu z nowymi, ciekawymi książkami. To wszystko prawda, ale przecież miasto oferuje chętnym niemal w każdej dzielnicy po kilka takich możliwości, chociażby pod postacią bibliotek publicznych. Wieś, zwłaszcza ta mała, takiej możliwości nie ma. Z książką można się zetknąć co najwyżej w bibliotece szkolnej. To znaczy, przepraszam, można by...

Na każdej konferencji metodycznej, co jakiś czas w prasie, często w radiu, z rzadka w telewizji — i tak w ogóle po domach — mówi się o braku chętnych ze szkół wiejskich do kontynuowania nauki w pełnych szkołach średnich, nie mówiąc o późniejszej ewentualnej edukacji w wyższych uczelniach. Czemu tak się dzieje? No właśnie, czemu? Wielu sobie po cichu w umyśle dodaje: wiocha, panie, wiadomo wiocha. To wyjaśnia wszystko. A może nie wyjaśnia? Może wyjaśnienia trzeba by poszukać w tamtym sformułowanym przed dwu wiekami poglądzie, że: „...po pierwsze książki, po drugie książki, po trzecie...”



XVIII OGÓLNOPOLSKI ZLOT TURYSTYCZNY



WŚRÓD LASÓW I JEZIOR

Zgodnie z tradycją, przywróconą dwa lata temu, XVIII Ogólnopolski Zlot Turystyczny odbył się w tym roku w Strącznie k. Wałcza. Trwał od 27 czerwca do 1 lipca.

Na zlot okregi przysłały dziesięcioposobowe ekipy. W ich składzie znajdowały się osoby związane z turystyką i sportem bądź to poprzez pełnione funkcje związkowe, bądź osiągnięcia w różnych dyscyplinach sportu. Udział był bezpłatny, zatem stanowił formę dodatkowego uhonorowania indywidualnych osiągnięć.

Trwająca trzy dni impreza zawierała różnorodny program. Były więc wycieczki; zgodnie z hasłem zlotu „Szlakami walk I Armii WP na Wale Pomorskim”. A więc wizyty w jednostkach wojskowych, przy okazji z uczestnikami zlotu spotkał się generał Szacilto. Odbył się ponadto kombinowany festyn sportowo-rekreacyjny, którego fragment pokazujemy na zdjęciach. Obejrzieć można było występy muzycznych zespołów wojskowych i nauczycielskich.

Zakwaterowanie w namiotach, w stacji harcerskiej położonej w pięknym lesie, dawało tak potrzebne wszystkim wytchnienie. Zaś dla tych, którzy przyjechali z dużym zapasem energii — przeznaczone były wieczorne dyskoteki.

Zlot jest imprezą przygotowywaną przez ZG ZNP i KRKFIT przy współpracy GZP WP, Logostouru i Komendy Chorągwi ZHP w Pile. Bezpośredniego przeprowadzenia zlotu podjął się ZO ZNP w Pile, funkcję komendanta pełnił Zdzisław Pasymowski.

Zlot stanowi imprezę pokazującą formy możliwej współpracy między ZNP, LWP i ZHP. Program zaś stanowi mieszankę elementów turystyki i zabawy.

W uroczystości podsumowania zlotu wzięli udział m.in. wiceprezes ZG ZNP — Jan Zaciura i przewodniczący KRKFIT — Józef Sawionek. Były liczne podziękowania ZG ZNP dla wielu osób za udział w organizacji zlotu. Zwrócono też uwagę, że losy zlotu wcale nie rysują się jednoznacznie: nie wiadomo, czy przyszłe władze Związku będą dysponowały takimi samymi możliwościami finansowymi, jak obecnie i czy będą w stanie podjąć taki wysiłek? Przekonany się już za dwa lata.

Zdjęcia i zapiski
MARKA SUCHECKIEGO

LEPIEJ W CIENIU?

W OZONOWEJ WARSTWIE POJAWIŁ SIĘ DZIURA

Wszystko zaczęło się dawno temu i dość niewinnie. Po długich poszukiwaniach niepalnego i nietoksycznego środka chłodzącego — wreszcie udało się! W 1928 roku laboratorium chemiczne amerykańskiego koncernu samochodowego General Motors otrzymało po raz pierwszy chloro-fluorowo-węglowodany: Freon 11 i Freon 12. Był to szlagger techniczny, a także, jak się później okazało, finansowy. Bo ów nowy gaz okazał się być wręcz wszechstronny. Co prawda z początku używano go głównie jako chłodziwa krążącego w lodówkach, ale potem znalazł także zastosowanie we wszelkich opakowaniach ciśnieniowych — od domowych „sprayów” począwszy, a na potężnych agregatach gaśniczych (pożarniczych) skończywszy. W latach pięćdziesiątych masowo zaczęto używać go w przemyśle tworzyw sztucznych, służył tu do spieniania tworzyw w produkcji elementów z tak zwanej sztucznej gąbki. Freony podbiły przemysł kosmetyczny ale także i samochodowy, lotniczy i wiele innych. Tak zaczęła się istny raj dla wielu użytkowników. Miliony ludzi na całym świecie otrzymało możliwość łatwego i szybkiego perfumowania się, czyszczenia różnych nawierzchni, malowania i lakierowania, walki ze szkodnikami itp. Lecz nikt przy tym nie zastanawiał się, co dzieje się z gazem ulatniającym się z owych ciśnieniowych opakowań.

Na to pytanie pierwsi spróbowali odpowiedzieć naukowcy brytyjscy. Wiadomo już było, że freony nie reagują z innymi gazami, że tu, na Ziemi, są praktycznie niezniszczalne. A więc co się z nimi dzieje? Okazało się, że po prostu ulatniają do troposfery (15 km od powierzchni globu) przez którą wręcz przebijają się „na sile”, po czym docierają aż do stratosfery (50 km od powierzchni ziemi). Ale niejako po drodze freony ulegają rozbieleniu — właśnie w tych wysokich warstwach uwalniają się z nich chlor, który następnie rozkłada trójatomowy tlen — ozon — na cząstki mniejsze. Zjawisko to poznane zostało już w początku lat siedemdziesiątych i właśnie wówczas zaobserwowano powstawanie owej, dziś tak głośnej, dziury ozonowej. Rezultaty ówczesnych obserwacji były tak zaskakujące, że naukowcy prowadzący ba-

zycie, iż warstwa ozonu staje się coraz cieńsza, dobrą nowiną wcale nie jest.

Jest bowiem ozon naturalnym obrońcą wszelkiego życia przed zabójczym promieniowaniem ultrafioletowym. Ozon właśnie zatrzymuje aż 99 proc. promieni ultrafioletowych docierających do nas ze Słońca. Jest go w dodatku mało: jeśli całą atmosferę ziemską wyobraziłbyś sobie jako swego rodzaju gazową „obrócz” sprężoną do grubości 8 kilometrów, to ozon stanowiłby tylko 3 milimetrowy jej fragment. Ale to właśnie owe „milimetry” są tym puklerzem, który umożliwia biologiczne życie.

Nie więc dziwnego, że skonstatowanie, iż w warstwie ozonowej pojawiła się dziura, wywołało obawy. Ba, z każdym rokiem dziura ta stawała się większa. Z początku stwierdzono kilkuprocentowe (w skali roku) ubytki ozonu i to tylko w jednym miejscu — nad Antarktydą. Ale z biegiem lat dynamika tych zmian przyjęła coraz bardziej niepokojące rozmiary. Dość powiedzieć, że w 1985 r. nad Antarktydą właśnie zawartość ozonu w atmosferze zmalała o połowę. W dwa lata później ustalono, że rozmiary owej ozonowej dziury powiększają się i osiągnęły rozmiary Ameryki Północnej. Na szczęście jest to, jak dotąd, zjawisko cykliczne, dziura pojawia się nad Antarktydą około października, po-

czym znów kurczy się. Ale na domiar złego całkiem niedawno odkryta została kolejna dziura w warstwie ozonowej — tym razem nad biegunem północnym. Przez oba „wrota” Słońce więc coraz silniej strzela w Ziemię promieniami ultrafioletowymi.

No a czym to grozi? Już w połowie minionej dekady naukowcy ostrzegali, iż zanikanie ozonowej tarczy spowoduje wzrost zachorowań na raka skóry, może skutecznie zakłócić procesy powstawania białkowych substancji w roślinach. Promieniowanie ultrafioletowe uszkadza system genetyczny na poziomie komórki, powoduje zaburzenia struktury DNA, wywołuje mutacje itp. Komputerowe obliczenia modelowe dolały jeszcze oliwy do ognia. Otóż doprowadziły do wniosku, że jeśli proces niszczenia warstwy ozonowej nie zostanie zahamowany, to w ciągu najbliższych 100 lat osłona owa zmniejszy się o prawie połowę, co w drastycznym przypadku może doprowadzić do tego, że nawet przed anemicznym jesiennym słońcem trzeba będzie się kryć. Zmniejszenie bowiem ilości ozonu w stratosferze o tylko 1 proc. powoduje, iż o 3 proc. więcej promieniowania ultrafioletowego dociera do powierzchni globu.

Nic więc dziwnego, że wszystkie te wieści podzielały elektryzująco. Antyfreonowe



Fot. M. Suchecki

A CO U NAS?

JESZCZE BEZPIECZNIE

Z doc. dr hab. MACIEJEM SADOWSKIM z Zakładu Klimatologii Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej* rozmawia Wojciech Sierakowski.

— Polska leży na szczęście daleko od Antarktydy, nad którą dziura ozonowa jest największa, ale za to bliżej Arktyki, gdzie pojawiła się kolejna „ozonowa pustka”. Czy w związku z tym także i u nas może być niebezpiecznie?

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że trend zmniejszania się zawartości ozonu w stratosferze jest trendem ogólnoglobalnym. Oczywiście ma on cykl sezonowy i różne natężenie w różnych częściach świata. Największe — w rejonie Antarktydy, a to ze względu na specyficzne warunki cyrkulacyjne. W rejonie nam bliższym — Arktyki — zjawiska te występują słabiej. Wiąże się to z oddziaływaniem kontynentu amerykańskiego i euroazjatyckiego, które zakłócają cyrkulację wokółbiegunową. W odróżnieniu od Arktyki — Antarktyda jest oddległa od kontynentów i dlatego tam właśnie owa ozonowa dziura jest znacznie większa. Można by zatem powiedzieć, że my — Polacy — żyjący w tej a nie innej szerokości geograficznej, nie mamy dziś jeszcze powodów do specjalnych obaw. Ale nie znaczy to, iż zawsze tak będzie. Spadek bowiem zawartości ozonu w stratosferze widoczny jest już na całej kuli ziemskiej.

— Czy jest to dostrzegane także nad terytorium Polski?

— Niestety tak. A potwierdzają to nasze, krajowe analizy zawartości ozonu. Wykryliśmy co prawda jeszcze niewielkie zmiany, rzędu około 1,5 proc. ubytku na przestrzeni ostatnich 30 lat, ale wydaje mi się, że już to może lekko niepokoić. Bo my dziś po prostu nie wiemy, jaki ubytek ozonu może spowodować istotne pogorszenie warunków na danym obszarze. Tym bardziej że przecież skutki tego zjawiska są rozłożone w czasie. Wiemy, że zmniejszenie zawartości ozonu w stratosferze spowoduje wyraźne zwiększenie dopływu promieniowania ultrafioletowego w tzw. pasmie B. Jest to pasmo o działaniu rakotwórczym, powodujące ponadto modyfikację kwasów deoksyrybonukleinowych. I to jest bardzo niebezpieczne, bo niesie za sobą ewentualność licznych zmian genetycznych.

— W ubiegłym roku, o tej właśnie porze, przesną nasze prasę płażowaniem. Czy była to więc przesada, czy nie?

— Jeśli pozostaniemy przy przykładzie naszego kraju, to była to, jak sądzę, jednak przesada. Natomiast jeśli udamy, iż Polacy są narodem ruchliwym, że wielu rodaków wyjeżdża co roku na wakacje czy to służbowo na południe, to trudno o ostrzeżenia bagatelizować. W tym bowiem przypadku zagrożenie lekceważyć nie można.

— Nawet już na południu Europy?

— Nawet tak blisko. Jest ścisły związek pomiędzy zachorowaniami Europejczyków na raka skóry, a ich przemierzaniem się w kierunku równika. Im jego bliżej — tym dla człowieka białego zagrożenie promieniowaniem ultrafioletowym B coraz

większe. I dlatego właśnie zachowanie pewnej ostrożności, nawet jeśli idzie o samo przebywanie na tzw. otwartym słońcu, jest niezbędne. O ile nad naszym Bałtykiem możemy jeszcze opalać się bezpiecznie, o tyle ci, którzy zamierzają wybrnąć się na południe i jeszcze dalej muszą zdawać sobie sprawę z tego, co im zagraża. Tego już nie można sobie lekceważyć.

— Radzi Pan umiar i ostrożność w używaniu kąpiei słonecznych?

— Naturalnie. Dziś dla białych ludzi, nawet pracujących na otwartym powietrzu jest to, przynajmniej w niektórych regionach świata, niebezpieczne. Na przykład w USA odnotowały się wzrost zachorowań na raka skóry farmerów pracujących na polach z odkrytymi głowami. A jest to związane właśnie ze zwiększonym dopływem do powierzchni naszego globu ultrafioletu B. To zaś jest rezultatem owego zmniejszania się zawartości ozonu w stratosferze.

— Wyrażnie nas Pan straszy...

— Nie strasze, ale ostrzegam. I to głównie tych przedstawicieli białej rasy, którzy zamierzają dłużej przebywać w strefie międzyzwrotnikowej. Pracując lub opalając się.

— Jak głębokie zmiany musiałby zaistnieć, by i tu — między Bugiem a Odrą — opalanie stało się również niebezpieczne?

— Szacuje się, że 5 procentowy spadek zawartości ozonu w stratosferze stanowi już duże zagrożenie. Tego my — na szczęście — nad naszym krajem jeszcze nie odnotowaliśmy. Co wcale nie oznacza, że mo-

lobby bodaj najszybciej zadziało w USA. Tam bowiem już w 1978 roku wydano zakaz stosowania freonu w opakowaniach typu spray. W marcu 1985 roku 20 państw podpisało tak zwaną wiedeńską konwencję ochrony warstwy ozonowej. W następnych zaś dwóch latach, wraz z pojawieniem się nowych informacji o rozmiarach zjawiska — rozpoczął się istny alarm. A tu i ówdzie nawet... ucieczka z plaż. Być może zabrzmi to niepokojąco ale w niektórych krajach pojawiać się zaczęły nowe „mody” — na skórze alabastrową, nietkniętą opalenizną (notabene w ubiegłym roku także i w naszej prasie pojawiło się wiele ostrzeżeń przed płażowaniem). Trudno się temu dziwić, skoro pojawiać się zaczęły także pierwsze szacunki statystyczne ileż to nowych zachorowań może przynieść fakt zmniejszenia się zawartości ozonu w atmosferze. Ostrzeżenia te są bodaj najbardziej uzasadnione, jeśli dodamy, że jak twierdzą specjaliści około 90 proc. freonów wypuszczonych do atmosfery w latach 1955—75 nadal odbywa swą wędrówkę do stratosfery.

Jak bardzo świat przejął się tym wszystkim może świadczyć fakt, że w tegorocznej, wiosennej konferencji w Londynie (poświęconej powstrzymaniu tych negatywnych zjawisk) wzięły udział delegacje z już 100 państw. Gospodarze zaproponowali, aby jak najszybciej zredukować o cztery piąte zużycie freonów (być może dlatego, że to właśnie Wielka Brytania jest już dziś największym w świecie ich producentem i eksporterem; dla porównania warto powiedzieć, że Polska zużywa około 1 proc. światowej produkcji freonów). Koniec końców uzgodniono, że wszystkie państwa będą dążyć do zaniechania produkcji tych gazów do 2000 roku. Problem w tym, czy będzie to możliwe. Bo ich zamienniki, póki co, są bardzo drogie. Po wtóre — byłaby to kłeska dla wielu przemysłów stosujących dziś freony. A zatrudniają one obecnie prawie milion ludzi, dostarczając towaru i usługi o wartości prawie 30 mld dolarów rocznie.

Ponieważ więc perspektywa całkowitego zaniechania produkcji freonów jest bardzo odległa — pojawiają się koncepcje ratowania warstwy ozonowej w inny sposób. Na przykład przez „wystrzeliwanie” do atmosfery porcji zamrożonego ozonu, przenoszenia go do stratosfery za pomocą balonów, rakiet, samolotów itp. Ba, w USA wystąpiono nawet z pomysłem niszczenia freonów za pomocą dział laserowych ustawionych na szczytach gór Europy i obu Ameryk. Póki co to utopia. Ale kto wie, może łatwiej będzie zrealizować właśnie ją, niż postulat dobrowolnej rezygnacji z wygodnego spray'u. My Polacy możemy jednak chyba mieć czyste sumienie. U nas dezodorantów, z innych powodów, wciąż brak.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

żemy spać spokojnie. Bo nie jest pewne, czy nie nastąpi jakieś skokowe pogorszenie sytuacji. Nie jest moim zamiarem kogokolwiek straszyć, ale musimy mieć świadomość, że lek ekologiczny, wyrażający się w domaganiu się zdecydowanego ograniczenia używania związków chemicznych niszczących ozon, wcale nie jest rzeczą śmieszną. Bez ochronnej warstwy ozonu po prostu nie jest możliwe życie na Ziemi.

— Wydaje się być jednak mało prawdopodobnym szybkie powstrzymanie procesów niszczenia tej warstwy.

— Nie można tego tak rozpatrywać. To musi być zrobione. Nie ma innej alternatywy. Świadomi są tego nie tylko naukowcy, poszczególni ludzie; ta prawda dotarła już do rządów wielu państw. Oczywiście, istnieją bariery, najważniejszą jest ta o charakterze komercyjnym. Zastąpienie freonów związkami nie niszczącymi ozonu jest możliwe, ale wiąże się to z 7—8-krotnym podrożeniem produkcji. Ale proszę zauważyć, jak już podzielały doniesienia naukowe o ozonowej katastrofie nad Antarktydą, gdzie w kulminacyjnej fazie zjawiska warstwa ozonu zmalała o nawet ponad 90 proc. Oto jeśli jeszcze kilka lat temu mówiło się, że produkcje freonów należy drastycznie zmniejszyć do roku 2000, to obecnie twierdzi się, że ów horyzont czasowy powinien być przesunięty już na rok 1990. Bo dziś nie możemy się pościć, że ów ozonowy dramat dotyczy tylko Antarktydy. W gruncie rzeczy dotyczy nas wszystkich. I to niezależnie od tego, w jakim zakątku świata zamieszkujemy.

* IMIGW koordynuje polskie badania nad warstwą ozonową.

SŁOWA WYTRYCHY

CD ZE STR. 1

Zawsze aktualny będzie problem: zależność od „kogo” i „czego” oraz wolność „do” lub „od” czego? W tym kontekście stawiam pytanie: czy koledzy z „Solidarności” tej niezbędnej niezależności i wolności mieliby w roku 1980 więcej, gdyby zwyciężyło (a chyba tylko taki wariant był wówczas możliwy) ekstremalne skrzydło tej organizacji? Moje osobiste spostrzeżenia wcale nie wskazywały na taki rozwój sytuacji. Oto jedno z kół, mając przygotowane propozycje zmian do statutu, nie mogło ich udostępnić ZNP, gdyż nie uzgodniło tego ze swoją „górami”. Z tych samych powodów koledzy z „Solidarności” nie wzięli udziału we wspólnej, proponowanej przez ZNP, naradzie i dyskusji, organizując równolegle swoją, na którą nie zaproszono nie tylko przedstawicieli ZNP lecz także pracodawcy. Taką metodą organizowano w placówkach spotkania, na których padły poważne zarzuty o charakterze ogólnym, a także personalne, zaś tryb organizowania spotkań nie dawał szans dyskusji lub odparcia zarzutu. I to wszystko w okresie głoszenia i żądania (słusznego) jawności działania!

Swego rodzaju czad doktrynalny przysłania ludziom zdrowy rozsądek. Jeśli młody nauczyciel prowadzący w jednej ze szkół spotkanie z okazji Dnia Nauczyciela (w październiku 1980 r.) w trakcie całej uroczystości i okolicznościowego wystąpienia nie wymienia ani razu nazwy Związku, do którego przed paroma dniami sam jeszcze należał — to dla mnie jest to przykład takiego zacczadzenia. Podobnie nieugięta postawa zademonstrował inny młody kolega, który na przerwie rozpoczął agitację do „Solidarności”, a jedynym argumentem było stwierdzenie, że „tylko w »Solidarności« są uczciwi ludzie”. Jakoż okazało się, iż tych „uczciwych” w tym gronie nie było nawet 50 proc. Rzecz jednak nie w tym.

Tych młodych ludzi potrafili zrozumieć, choć używali czasem słoistw i argumentacji nie własnej i nie z ich epoki. Naszemu stanowi powinna być niemal obojętna postawa zademonstrował inny młody kolega, który na przerwie rozpoczął agitację do „Solidarności”, a jedynym argumentem było stwierdzenie, że „tylko w »Solidarności« są uczciwi ludzie”. Jakoż okazało się, iż tych „uczciwych” w tym gronie nie było nawet 50 proc. Rzecz jednak nie w tym.

Tych młodych ludzi potrafili zrozumieć, choć używali czasem słoistw i argumentacji nie własnej i nie z ich epoki. Naszemu stanowi powinna być niemal obojętna postawa zademonstrował inny młody kolega, który na przerwie rozpoczął agitację do „Solidarności”, a jedynym argumentem było stwierdzenie, że „tylko w »Solidarności« są uczciwi ludzie”. Jakoż okazało się, iż tych „uczciwych” w tym gronie nie było nawet 50 proc. Rzecz jednak nie w tym.

Potrzebę przemyslenia i przygotowania się do nowej sytuacji podkreślał także dlatego, że znany mi jest w detalach przykład (z woj. legnickiego), gdzie w roku 1981 w jednej ze szkół wiejskich doszło do karykaturalnie pojętego pluralizmu: powstały w niej mianowicie 2 koła „Solidarności”, które jakby tego było jeszcze mało — sięgnęły do metod „namacalnego” udawadniania swoich racji. Śmiała się z tego cała wieś (wciągnięta do tego przez rzekomych związkowców). Ale z kogoż to się śmiało? Nie ze związku zawodowego. Śmiało się z nauczycieli! I być może ten złośliwy chichot słyszy się tam jeszcze i teraz, kiedy na wywiadówkach udziela się rodzicom porad wychowawczych. Więc jeśli będziemy wymagać szacunku dla naszego zawodu od innych, pokażmy najpierw, że potrafimy szanować samych siebie. Któż dzisiaj w tejże miejscowości patrzył, że toczyły wbrew swojej naturze — prawdziwą wojnę 2 koła tego samego związku? W oczach mieszkańców skompromitowali się nauczyciele, których lawojemnie sobie wówczas zadanych czas pewno jeszcze nie zabliźnił.

Nie powinno nas dziś stać na luksus strąty czasu, zdrowia, a nade wszystko puszcia atmosfery wychowawczej w naszych placówkach. Zamieśmy się zatem w uczo-

now i uczmy się nasze problemy rozwiązywać wspólnie. W końcu — i administracja oświatowa, i związki zawodowe zajmują się tymi samymi problemami. Różnią się — co jest naturalne — formami i metodami działania. Bez względu na liczbę związków i ich autentyzmu lub rzekome barwy (czerwone, zielone, złotisto-białe itd.) stan nauczycielski pewne problemy musi podjąć sam i walczyć o nie bez oglądania się na sojuszników, bo ich najprawdopodobniej nie znajdzie.

W moim przekonaniu są takie dwa zasadnicze ogromne zadania. Po pierwsze — jakości kadry pedagogicznej (bardzo szeroko pojęta). Po drugie — materialne zabezpieczenie funkcjonowania oświaty (również szeroko rozumiane).

Pierwszej sprawie poświęćmy sporo uwagi we wrześniu 1988 r., chciałbym zatem podzielić się uwagami odnośnie drugiego problemu.

Znana jest u nas metoda pisania historii przy prawie kompletnym ignorowaniu zagranicy. Zadekrelowano w latach siedemdziesiątych osiągnięcie etapu rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, a ja jeszcze na początku czerwca 1980 r. zostałem zestrofowany za to, że tego nie dostrzegłem, bo „w końcu będziemy oceniać wyniki całej dziesięciolecia i na ostateczne wyniki jeszcze musimy poczekać” (zacytowałem dosłownie fragment odpowiedzi na moje pytanie bardzo wysoko postawionej w hierarchii wojewódzkiej osoby). Tu już żadnego komentarza nie trzeba — dusząc się rzekomą własną „potęgą” nie widzieliśmy, że zyskując niewiele cofamy się dość błyskawicznie w stosunku do innych. W ciągu całej historii Polski Ludowej żadnemu z liczących się polityków nie zdarzyło się nie podkreślić wielkiej roli i znaczenia oświaty. Także w uchwałach rządowych różnych gremiów politycznych podtrzymywano w nauczycielstwie tę nadzieję tak wytrwale i intensywnie, że mocno wgrzył się w moją pamięć zwrot, iż „szczególną troską będzie się otaczać szkołę i nauczyciela”. Uczciwie powiedziawszy, zdarzyło się to chyba tylko jeden jedyny raz w okresie gigantycznej akcji „1000 szkół na 100-lecie”, a i to w najmniejszym stopniu dotyczyło bezpośrednio nauczyciela.

Czym należało tłumaczyć i wyjaśniać taki rozwój sytuacji. Niemożnością, ludzką niezaradnością, brakiem kompetencji lub rozumienia tych spraw — może każdym po trosze? Osobiście skłaniam się do analizy i oceny tej kwestii przeprowadzonej i wyrażonej przez — chyba duchowego lidera ZSL — prof. M. Kozakiewiczą w sierpniu 1988 r. podczas debaty sejmowej w sprawie wotum zaufania dla rządu Z. Messnera: każdy rząd ponosi odpowiedzialność za swoją działalność i decyzje w takim stopniu, w jakim miał swobodę decydowania i działania pozostawioną mu przez czynniki polityczne.

Miałem sposobność zapoznania się w pewnym zakresie ze sprawami finansowania oświaty w innych krajach. Oto w budżecie np. Holandii najważniejszą pozycję stanowi „oświata i wychowanie”, na którą parlament w roku 1988 przeznaczył 29,6 miliardów guilderów tj. prawie 18 proc. całego budżetu (źródło: The Netherlands in brief, str. 26).

Ministerstwo Edukacji Narodowej i Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego toczą natomiast wojnę o siedmioprocentowy udział oświaty w dochodzie narodowym podzielonym. Oby nam się powiedziało, ale szans wielkich na to nie ma! Z wysokości stolicy widząc, że dzieci obywateli są tak przetrzebić realizują — nie ma więc o to kopy kruszcu! A przecież jeśli przed każdym nowym rokiem szkolnym gminie, miejskiej i wojewódzkiej egzekutywy partii zapoznają się ze stanem oświaty, jeśli to samo czynią rady narodowe — to przecież nikt nie może powiedzieć, że nie jest zorientowany w sprawie! W uchwale XXIV Plenum KC PZPR

czytamy m. in. że należy dokonać ponownej kompleksowej oceny sytuacji lokalowej placówek przedszkolnych w każdym województwie! Czy znówu będą musieli dokonać tej oceny kontrolerzy z centrali?

Nie wiem, czy lepiej jest z finansowaniem oświaty na szczeblach niższych. Nie generalizując problemu posłużę się przykładem: nadwyżkę budżetową za rok 1987 Wojewódzka Rada Narodowa w Legnicy podzieliła w sposób dość znamieny: ponad 190 mln dla PGR, z tego aż 80 mln na pokrycie deficytu; 20 mln otrzymała oświata i tyleż samo służba zdrowia (pomijam inne działy) Korzystniej dla oświaty podstawowym (tzn. MRN w Złotoryi). Jest zatem wspólna do wygrania sprawa: proponujmy do władz różnych szczebli mądrych i odważnych ludzi, bo tylko jeszcze tacy — przy całej złożoności sytuacji — coś mogą dla oświaty wywalczyć.

Jeden ze styczniowych numerów „Zycia Literackiego” przyniósł analizę oraz prognozę aktualnych i docelowych stawek uposażeńowych sfery budżetowej w stosunku do pozabudżetowej; wynotowałem te cyfry, administracja państwowa — 102,1 proc., docelowo 112,1. Wymiar sprawiedliwości — 101,5 (108,8). Nauka i szkolnictwo wyższe — 108,6 (115,4). Oświata i wychowanie — 100,5 (104,4). Ochrona zdrowia — 90,0 (104,4). Kultura i sztuka — 65,0 (97,8).

Pozostaną one li tylko cyframi bez większego znaczenia tak długo, jak długo będzie u nas honorowana praktyka, że wypracowuje się stanowisko, a nie stawki placowe. Te się „wystrajkowie” (takiej lekcji obywatelskiego wychowania udzielił mi na początku marca 1989 r. pewien górnik). Teraz przynajmniej wiem, że w trybie normalnym trudno jest skutecznie domagać się dla środowiska, które po nauce ma chyba najwyższy wskaźnik osób z wyższym wykształceniem — lepszego usytuowania materialnego.

A tak zupełnie serio, to w sposób jasny widać, że wykształcenia kolejny raz nie doceniono.

Jeśli o protestach mowa, to według mojego przekonania, największe prawo do niego mają nauczycielki jako kobiety wlotroczone między puste garniki i różne kolejki, które wręcz poniżają ich godność. Przed sądem historii te właśnie kolejki będą miały taką samą wagę, co osławiane kartki na alkohol. Nie mogę natomiast podzielić stanowiska nauczycieli związkowców z Nowej Huty w sprawie styczniowego strajku. Na pewno nie dysponuję pełną, konkretną wiedzą „sytuacyjną”, być może zawodzi mnie także moja wyobraźnia, ale klasa szkolna nie może być mięśnieniem, w którym nasze środowisko rozstrzygać ma swoje najistotniejsze nawet sprawy życiowe.

★

Czytelniku może zapytać, kimże jestem, że tak hojnie udzielam rad i pouczam. Otóż jestem jednym z was, zatroskanych o stan oświaty i jej przyszłość. I nikogo nie zamierzam pouczać. Nie jestem też reprezentantem i głosiłem psychicznego dekadyntyzmu. Namawiam jedynie — i siebie, i innych — do tego, abyśmy pewnych partii materiału nie musieli przerabiać na nowo.

Jestem przekonany, że jednak już się wiele nauczaliśmy, że i naszą wiedzę prawdziwą wykorzystamy — w działalności wychowawczej, społecznej i politycznej. I nie tylko pracownicy oświaty.

JAK DAWNIEJ WĘDROWANO?

Lato to pora wędrowania, także młodzieży szkolnej. Tradycje tych wędrowek są bardzo dawne — do legendy przeszedł żyjący w II połowie XIX wieku Wojciech Bogumił Jastrzębowski — znakomity nauczyciel, wychowawca i nieustraszony wędrownik polskich dróg. Powstanie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w 1906 roku, a także polskich szkół w Królestwie, stworzyło możliwości wzbogacenia szkolnego nauczania o wędrowki krajoznawcze.

W działalności PTK organizacja wycieczek, także młodzieży szkolnej, stanowiła jedno z ważniejszych zadań. Przyjmowano grupy do Warszawy, także młodzieży szkolnej spoza granic Królestwa — z Galicji, z Wilna. Zapewniano im ciekawy program zawierający zarówno treści historyczne, jak i współczesne — np. zwiedzanie filtrów, wystaw w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa oraz w Zachęcie. Czasem towarzyszyły temu tak miłe akcenty, jak np. zaproszenie szkolnej wycieczki z Zawiercia na podwieczorek przez Zarząd Towarzystwa. Wszyscy członkowie PTK byli znakomitymi przewodnikami.

Były wycieczki organizowane z dużym rozmachem i fantazją. 22 czerwca 1910 roku profesor Szkoły Handlowej w Suwałkach, Z. Niklewski, z dwunastoma uczniami wyruszył łódkami z jeziora Wigry. Czarną Hańczą do Kanału Augustowskiego, dalej Kanalem, Biebrzą, Narwią i Wisłą do Warszawy. Następnie Wisłą do Płocka i Włocławka. Potem jeszcze piechotą do Ciechocinka i Łowicza. Wrócili koleją. Droga wodna wynosiła około 320 km. Koszt obliczono w wysokości 16 rubli na osobę. Wędrowali cztery tygodnie.

Od Towarzystwa Wioślarskiego we Włocławku dostali list: „Pragnąc upamiętnić dzielnej młodzieży nadzwyczaj dla nas miłe odwiedziny w naszej przystani przy najbliższym przysłaniu szpilki z herbem naszego miasta z prośbą o wręczenie ich (tu lista nazwisk). Niech ten skromny upominek będzie dla nich przypomnieniem wioślarskiej wycieczki i zarazem zachętą do dalszej pracy na polu sportowym. Dzielny wioślarzom i ich kierownikowi przy tej sposobności wyraża o zdrowianiu życzliwość”. (cytat z tygodnika PTK „ZIEMI”).

Z kolei grupa 10 uczniów warszawskiej szkoły Wojciecha Górskiego w tym samym roku wędrowała przez Kurpie — trasą: Ostrołęka, Dylewo, Kadzidło, Wydmysy, Myszyńiec, Przasnysz, Opinogóra, Ciechanów. Przeszli około 150 km. Kosztowało ich to 6 rubli na osobę.

Koszty takiego wędrowania były symboliczne. Ale też korzystano często z gościnności zaprzyjaźnionych osób, darmowych posiłków i noclegów. Były to pierwsze, pionierskie lata zbiorowego wędrowania. Starano się, aby wycieczki były jak najtańsze i równocześnie jak najbogatsze w sensie krajoznawczym. Często korzystano z gościnności licznych przyjaciół towarzystwa. Bo nie były to rozrywki ludzi zamężnych — ci wędrowali inaczej i gdzie indziej — za granicę, do modnych i słynnych miast i uzdrowisk. Kto by chciał wędrować po polskich drogach i to jeszcze piechotą!

A jednak wycieczki PTK cieszyły się popularnością. Wiceprezes PTK, Mikołaj Wi-

sznicki, znakomity grafik, krajoznawca, fotograf i dziennikarz w 1911 roku wybrał się z grupą pięciu uczniów szkół warszawskich na trasę — i to jaką!

Wycieczka z Warszawy do Zakopanego (pieszo!), przeprowadzona została podług zakreślonego z góry planu z zupełnym powodzeniem. Wszyscy doszli na miejsce w oznaczonym czasie i zdrowo, a co więcej — wszyscy z obciążeniem od 0,5 do 6 kg. Stało się tak z pewnością dlatego, że dzięki uprzejmości i gościnności ludzi życzliwych, wycieczka miała zapewnione niemal wszystkie wygodne noclegi, a w większości wypadków i suty posiłek.

Na tę miesięczną wędrowkę wybrali się w welnianych (!) trykotowych sportowych koszulkach, praktycznych tak na upały jak i na chłód w górach oraz w płóciennych butach, które wytrzymały zarówno drogę do Zakopanego jak i kilka dni wędrowki po górach. Bagaż w „worku podróżnym” ważył 9–10 kg, tylko pan Wisznicki dźwigał 11,5 kg — zapas błon fotograficznych i przyborów rysunkowych.

Do wyprawy przygotowywali się kilka miesięcy. Każdy z uczniów opracował odcinek trasy. Koszty wycieczki wyniosły po 35 rubli. Wyruszyli 22 czerwca z siedziby towarzystwa. Szli przez Raszyn, Falenty, Sękocin, Mroków, Szczaki. Nocowali u przyjaciół. Przeszli 30 km — i tak prawie codziennie. Wędrowkę kończyli późnym wieczorem. Kolejny etap — do Grójca. Po drodze zwiedzali wytwórnię surowic i nowoczesne duże gospodarstwo rolne. Następny etap — do Białobrzegów. Po drodze obiad u przyjaciół, kolacja i nocleg także. Potem do Radomia — prawie 40 km.

Dalej szli przez Ilżę do Nowej Słupii. Tam pierwszy raz nocowali w zajeździe. Przez Święty Krzyż i Łysicę poszli do Świętej Katarzyny. Tam nocowali w pierwszym i wtedy jedynym schronisku PTK. Domek ten zachował się do dziś i można go obejrzeć. Jest też na nim pamiątkowa tablica. W Sw. Katarzynie odpoczywali — tzn. poszli tylko do Bodzentyna. Dalsza droga — to Kielce i Jędrzejów. Podejmował ich dr Przytkowski — oczywiście w nocy podziwiali przez lunetę księżyc i gwiazdy.

Dalej szli przez Książ, Przybysławice do Pieskowej Skály, tam mieli pierwszy nocleg w stodołę na sianie. Następnie Ojców, a 7 lipca doszli do Krakowa. Dalej — Wieliczka, Niepołomice, Stary Wiśnicz. Posługiwali się już austriackimi mapami i odległości podawali w kilometrach. 12 lipca w Nowym Sączu zobaczyli na horyzoncie Tatry. Ale po drodze przeszli jeszcze Pieńiny — płynęli Dunajcem, byli w Czorsztynie i Niedzicy. 16 lipca byli w Zakopanem, a 18 poszli przez Zawrat do Morskiego Oka. Noclegi w schronisku Towarzystwa Tatrzańskiego.

20 lipca, tym razem już koleją, pojechali do Krakowa. Zwiedzanie miasta i wycieczka do Ojcowa Stamtąd — już furmanka — do Olkusza. I to był koniec włości. Przeszli 650 wiorst — prawie 700 km.

Program krajoznawczy był bardzo bogaty. Zwiedzali kościoły, ruiny zamków, zabytki, gospodarstwa rolne. Spotkali się z ludźmi, którzy mogli im wiele pokazać i opowiedzieć. Interesowali się geologią i przyrodą. Robili zdjęcia, rysowali. I — co najważniejsze — wszędzie trafiali do lu-



Fot. Z. Matwiej

dzi życzliwych — stąd tak niski koszt wyprawy.

Inną relację ze szkolnej wycieczki możemy przeczytać w „ZIEMI” nr 33 z 16 sierpnia 1913 roku. Grupa uczniów z Radomia pojechała do Hajnówki. Stamtąd piechotą przeszli przez Puszcze Białowieską do Grodna. Tam kupili łódkę i popłynęli Niemnem do Kowna. Płynęli 6 dni i jedną noc. W Kownie łódkę sprzedali, niestety, ze stratą 2 rubli. Z Kowna poszli do Wilna, dalej do Trok, potem do Suwałk nad jez. Wigry i Kanał Augustowski. Z Augustowa koleją wrócili do Warszawy. Tutaj wiceprezes PTK, Al. Janowski, pokazał im Stare Miasto i budowę mostu (chodzi o most Poniatowskiego), byli też na wystawie w Zachęcie. „Pomimo trudów podróży, podczas której wycieczka przeszła trzysta kilkudziesięciu wiorst pieszo i tyleż przewiosłowała, chłopcy zyskali na wadze i byli w doskonałym zdrowiu”.

O wzrastającej popularności wycieczek szkolnych w latach 1906–1913 świadczą dane ze schroniska PTK w dolinie Prądnika k. Ojcowy (willa „Pod Kometa”). Tylko w ciągu miesiąca od otwarcia schroniska w 1913 roku było tam 350 osób, w tym 319 uczniów i uczennic. Były min. wycieczki czterech żeńskich pensji z Warszawy.

Wymieniony już Mikołaj Wisznicki w 1913 roku podjął kolejny eksperyment turystyczno-krajoznawczy. W numerze 31 „ZIEMI” z 22 sierpnia tego roku jest relacja z niezwykle wówczas wycieczki. „Wycieczka z tego względu zasługuje na u-

wagę, że wzięły w niej udział panie”. Przeszły trasę z Wąchocka przez Bodzentyn do Sw. Katarzyny, weszły na Łysicę, dalej przez Sw. Krzyż do Nowej Słupii, Opotowa, Ujazdu i przez Staszów aż do Sandomierza. Z Sandomierza wycieczka wróciła statkiem do Warszawy. Potem następuje długa lista imiennych podziękowań dla wszystkich, którzy na trasie wycieczek serdecznie i gościnnie podejmowali. Ogółem przez 10 dni wycieczka przeszła pieszo ponad 200 km. „Panie zdążyły świetnie egzamin wytrzymałości i absolutnie nie ustępowały mężczyznom, przemarsze odbywały się nadszpiewanie szybko i sprawnie... Mimo że wszyscy nieśli cały bagaż w workach podróżnych, zmęczenie nie dało się odczuwać, tak samo nie zaszkodziło nikomu parokrotne zmoknięcie — wszyscy wrócili do Warszawy nie tylko ze zdrową cerą, ale, jak się pokazało, ze znacznym przybytkiem wagi”.

Takie były początki wędrowania młodzieży szkolnej. Nie było schronisk i typowych tras. Ale byli ludzie ofiarni z dużą odwagą i jeszcze większą pomysłowością. Może dlatego, iż wiedzieli, że jako pierwsi wyruszają na szlaki, gdzie nikt jeszcze nie wędrował? A może to wędrowanie z młodzieżą szkolną traktowali jako rzecz niesłychanie ważną dla kształtowania jej świadomości narodowej, patriotycznej?

Czy my dzisiaj potrafimy mieć tyle zapалу i fantazji w swojej pasji wędrowania, jak nasi dziadkowie przed 80 laty?

WOJCIECH JANKOWSKI

LEKTURY

„BAZAR 4”

Pod takim tytułem ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego kolejny almanach literacki środowiska kielecko-radomskiego, zawierający wiersze, prozę i dramaty. Współautorami tej publikacji są adepci pióra — przede wszystkim członkowie nieprofesjonalnych klubów i stowarzyszeń twórczych, a zwłaszcza kielecko-radomskiego Nauczycielskiego Klubu Literackiego oraz świętokrzyskiego ośrodka Kores-

pondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy im. Stanisława Czernika.

O wyrównany poziom utworów zamieszczonych w „Bazarze 4” zadbał Stanisław Nyczał i Stanisław Rogala, prowadzący przez kilka lat kielecki Ośrodek Kultury Literackiej. Stanisław Nyczał opatrzył też almanach rzeczowym wprowadzeniem, w którym podkreśla bardzo słusznie, iż w zamieszczonych w tym wydawnictwie utworach nie ma śladu „kompleksu prowincji, usidlającego wyobraźnię, krepującego artystyczny rozmach”. Zastrzega się przy tym: — „Nie znaczy to, że nasi wstępujący ulegli bez reszty tendencjom uniwer-

salistycznym, tematów — problemom ogólnoludzkim czy ogólnonarodowym? Owszem, sięgają do rodzimego podglebia, osobistego doświadczenia. Czynniami to wszak nie z leką przed wypłynięciem na szerokie wody, lecz ze świadomego wyboru, a jeśli z sentymentem — to naturalnym, wyzbytym natręctwa pamiętnikarskich szczegółów i naiwnej tkliwości na ludową modłę”.

Wśród występujących w almanachu autorów najliczniejszą i najbardziej interesującą nas grupę zawodową stanowią pedagodzy, znani zresztą z wielu publikacji na łamach „Literackiego Głosu Nauczycielskiego”, jak również z aktywnego uczestnictwa w nauczycielskim ruchu literackim. Większość z nich ma już na swoim koncie debiutanckie arkusze poetyckie (Antoni Dąbrowski, Marcin Gajek, Anna Kalbarczyk, Kazimierz Kochański, Adam Zych), a także pierwsze książki (Jacek Mularski, Teresa Opoka, Alina Pietraszewska). Są też znani nam autorzy — laureaci nauczycielskich konkursów literackich, jak np. Pelagia Borowska, Henryk Morawski, Irena Nyczał, Barbara Sierakowska, Jerzy Stokłosa.

Opublikowane w almanachu utwory wymienionych koleżanek i kolegów wyróżniają się dojrzałością. To właśnie one głównie decydują o wysokim poziomie artystycznym tej publikacji.

Kielecko-radomskie środowisko literackie odznacza się wyjątkową aktywnością i wieloma interesującymi inicjatywami — w tym również wydawniczymi. Do takich przedsięwzięć (oprócz publikowanych almanachów pod stałymi tytułami „Bazar” i „Słowo”) należy też wydawanie debiutanckich tomików w zapoczątkowanej przed kilku laty serii „Biblioteki Świętokrzyskiej”. W tej właśnie serii ukazały się ostatnio między innymi tomy wierszy koleżanek: Jadwigi Jankowskiej, Aliny Pietraszewskiej i Jadwigi Wrzosekiewicz. Dzięki aktywności środowiska utworzone zostało w Kielcach przed kilkoma tygodniami samodzielne wydawnictwo pod firmą „Domu Książki”. Nowe możliwości publikacji z całą pewnością jeszcze bardziej zmobilizują środowisko do owocnych wysiłków twórczych.

JAN MOLDA

RODZICE POWIEDZIELI: NIE!

CD ZE STR. 1

chomińską oświatą. Tam przynajmniej w porę zorganizowano dowożenie uczniów do okolicznych szkół, tutaj i tego nie potrafi się sprawnie rozwiązać.

Podobnie jak na Ursynowie — i to nowe tarchomińskie osiedle budowano bez głowy; nikt nie wpadł na to, że nowowzniesione bloki zapełnią ludzie młodzi, którzy zechcą mieć dzieci. Powtórzyła się więc i tutaj ta sama historia, co w innych, nowych dzielnicach: przybywa uczniów, a szkoła jest tylko jedna i w dodatku mała.

CIASNO, DUSZNO, NIWYGODNIE

Budynek, zlokalizowany w środku osiedla, wygląda okazale i robi wrażenie korzystniejsze, niż jest w rzeczywistości. Ma 25 pomieszczeń, z tym że dwa zostały adaptowane na klasy (m.in. pokój nauczycielski) i pomieścić mogą z trudem 26-osobowe zespoły. Natomiast norma liczebności klas w tej szkole wynosi od 35 do czterdziestu kilku uczniów. A jest tak dlatego, że do szkoły przeznaczono na 900 uczniów, wciśnięto 2038! Są tu 53 oddziały plus 5 oddziałów przedszkolnych. Można sobie wyobrazić, co się w tej szkole dzieje.

Klasy pękają w szwach. Uczniowie upchnięci jak sardynki w puszcze, nauczyciel plecami dotyka tablicy, a pierwsze ławki jego pulpitu. Ciąsno, duszno, niewygodnie, kontakt z poszczególnym dzieckiem utrudniony. Utrzymanie dyscypliny w takiej klasie, zwłaszcza wśród młodszych uczniów, kosztuje wiele wysiłku. Nie sposób przecież karać dzieci za to, że zmęczone ciasnotą kręcą się i wiercą, podpowiadają lub skarżą na sąsiada, że zajmuje za dużo miejsca.

Ale to nie wszystko. Szkoła pracuje aż na trzy zmiany. Oczywiście, zrezygnowano w tych warunkach z wolnych sobót (dla klas IV—VIII), ale i to nie rozładowało napiętej sytuacji. Lekcje kończą się tutaj o godz. 17.00, ale dla klas I—III jeszcze później, bo o 18.50. Jest tak, mimo że szkoła korzysta z 4 dodatkowych sal, niestety małych, w Klubie Osiedlowym „Poraje”.

Od września grozi szkole prawdziwa katastrofa: ubyłoby 116 uczniów klas ósmych, przybędzie 307 pierwszoklasistów, czyli — z grubsza licząc — 10 klas pierwszych. Tego nie da się już pomieścić.

OBUDZENI ZE SNU

„Sprawa się ryła” dopiero wiosną tego roku, kiedy to okazało się, że w Tarchominie jest za dużo dzieci. A przecież już pięć lat temu było wiadomo, ile dzieci osiągnie wiek szkolny w 1989 roku. Planowanie nie jest widać mocną stroną władz dzielnicy, skoro dopiero teraz zauważyły szkolne problemy. Czyli w momencie, kiedy niewiele można zrobić, aby nie tylko sytuację rozładować, ale też zapobiec powstaniu groźnego konfliktu. A doszło do różnicy zdań między nauczycielami, władzą oświatową i rodzicami. O dowożenie dzieci do szkół na Bródnie.

W kwietniu decyzję o dowożeniu podjęła rada pedagogiczna i zaalarmowała wydział oświaty. Obecna na zebraniu rady inspektor, p. I. Chmiel powiedziała, że to dyrekcja zwróciła się do wydziału o pomoc, w następstwie czego dokonano „szczegółowej analizy organizacji pracy szkoły”. W wydziale zapadła decyzja o dowożeniu dzieci.

— Już w grudniu było wiadomo, że dzieci będą dowożone — przerywa przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego. — Wiadomo mi o tym od radnej DRN. Dlaczego więc rodziców powiadomiono o tym dopiero w maju, kiedy już późno na szukanie innych, lepszych rozwiązań?

Inspektor stanowczo temu zaprzecza: w grudniu o dowożeniu mowy nie było. Ale tym gorzej dla sprawy, bo właśnie w grudniu, jeśli nie wcześniej, należało myśleć o wrześniu.

W maju władze dzielnicy odbyły więc spotkanie z rodzicami. Nauczyciele zgłaszają pretensje, że ich na to zebranie nie zaproszono, więc zignorowano. Rodzice podobnie myślą o radzie, która podjęła decyzję sama, bez uzgodnienia z nimi.

Ale dobre i to, że do takiego spotkania z rodzicami doszło. Tyle że na tym spotkaniu, jak mówi przedstawicielka rodziców:

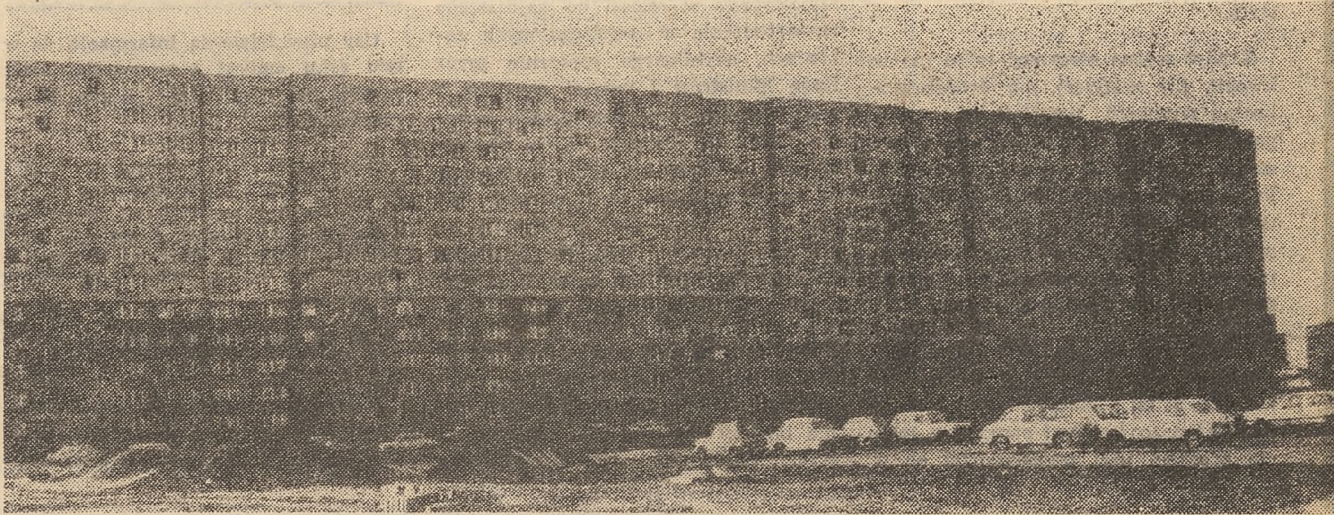
— Zaproponowano nam warunek nie do przyjęcia, taki mianowicie, że dzieci będą same dojeżdżać do szkół bródnowskich autobusami MKK. Na to nikt nie wyraził zgody. I rozstaliśmy się na niczym.

Uściśla tę informację p. inspektor Chmiel twierdząc, że na tym samym zebraniu, gdy rodzice odrzucili projekt dojazdów autobusami MKK, zaproponowano im inny: dowożenie zorganizowane przez Inspektorat oświaty. Ale i to zostało odrzucone.

— Gdyby po tym spotkaniu, w maju, rada pedagogiczna, wychowawcy przeprowadzili rozmowy z rodzicami, na pewno udało się ich przekonać, że dowożenie ma na celu dobro dzieci, stworzenie im lepszych warunków do nauki. Ale nie było takiego wsparcia i mamy sytuację taką,

daktyczno-wychowawczą. Dzieci uczące się do godz. 21.45, klasy czterdzieste i więcej osobowe, brak opieki medycznej — to zaprzeczenie wszelkim zasadom bezpieczeństwa i higieny pracy. W tej sytuacji nie możemy brać odpowiedzialności za realizowanie programu nauczania i wychowania z autentyczną korzyścią dla uczniów oraz czuć nad bezpieczeństwem powierzonych nam dzieci (...). W wypadku (...) nie uzgodnienia z radą pedagogiczną opisanych problemów nie godzimy się na podjęcie pracy z dnem 1 września, chociaż traktujemy to jako ostateczny krok desperowanego zespołu nauczycielskiego”.

Rodzice nie wnikają w kłopoty nauczycieli, nie chcą słuchać — jak dotychczas — argumentów, iż pobyt w tej szkole jest z różnych względów niekorzystny dla ich dzieci. Ma więc władza dzielnicowa dwa protesty dwóch grup. Rodzice nie grożą strajkiem, oni po prostu przyprowadzają dzieci do szkoły 1 września i o żadnym dowożeniu nie chcą słyszeć. I, jak wspom-



A można było przewidzieć, że z takich bloków „wyjdzie” wyż demograficzny...

Fot. M. Suchecki

jaką mamy — mówi z wyrzutem w głosie pani inspektor.

Dyrektor szkoły, p. Kilińska stwierdza, że rodzice zostali potraktowani przez władze nie po partnersku, nie dano im głosu, czują się więc zlekceważeni.

Wychowawcy zaprzeczają, jakoby nie zrobili nic. Owszem, rozmawiali z rodzicami. Tylko nieliczni godzą się na dowożenie, w jednej z klas — żaden.

Rodzice proponowali, aby zawiesić niektóre zajęcia, np. zajęcia praktyczno-techniczne, w ten sposób można by skrócić czas nauki dziecka. Ale nikt z nauczycieli ani władz oświatowych na to iść nie może.

— Są dni otwarte w szkole, wywiadówki — mówi młoda nauczycielka. — Informujemy rodziców o wszystkim, mówimy o trudnych warunkach nauki, o braku bezpieczeństwa. Ale rodzice nie chcą ani tego rozumieć, ani pomagać, oni mają pretensje do nas za złą organizację pracy w szkole, za zajęte soboty, za tłok w klasach...

PROTEST

— Kto zechce w takich warunkach pracować — mówi inna nauczycielka — niszczy zdrowie, wysłada system nerwowy, jesteśmy przeciążeni obowiązkami. To wszystko jest już ponad nasze siły i musimy jakoś protestować...

Zebranie rady, na które zaproszono naczelnika dzielnicy, inspektora, przedstawiciela Inspektoratu Pracy, przewodniczącego Komitetu Rodzicielskiego oraz dziennikarza „Głosu”, było formą tego protestu.

W piśmie do naczelnika dzielnicy z 20 czerwca br. napisali:

„Nie możemy zgodzić się z taką sytuacją, gdyż zdajemy sobie sprawę z tego, że nie będzie możliwa realizacja procesu dy-

niałam, nie chcą już dyskutować. Oczywiście, o dowożeniu uczniów. Bo o innych sprawach, owszem, chcą.

GNIEW RODZICÓW I NAUCZYCIELI

bierze się stąd, że od dawna obie strony zgłaszały pomysły rozwiązania trudnej sytuacji. Proponowano na przykład adaptację budynku należącego do Fabryki Domów, a nie wykorzystanego od wielu lat — niedaleko szkoły, przy ul. Myśliborskiej. To propozycja nauczycieli. Rodzice podsuwali władzom dzielnicy myśl budowy pawilonu szkolnego typu „Narew”. Oba pomysły nie zyskały aprobaty.

Dziś rodzice dalej obstają przy „Narwi”, a nauczyciele przy adaptacji budynku Fabryki Domów. Tyle że czas goni i żaden z tych projektów nie ma szans realizacji w ciągu dwóch miesięcy. Więc może dowożenie?

Zastępca naczelnika, uczestnicząca w posiedzeniu rady, zaprzecza, jakoby rozmawiano z rodzicami wyłącznie o dowożeniu. Są 3 warianty rozwiązania tej sytuacji. Albo adaptacja budynku Fabryki Domów, albo pawilon „Narew”, albo dowożenie... I zastrzega: gdyby decyzję zapadły wcześniej, można było część uczniów przenieść do szkoły przy ul. Leszczyńskiej. Dziś mieści się tam przedszkole i za późno, aby się z tego wycofać.

Właśnie, gdyby... Dlaczego nikt wcześniej o tym nie pomyślał? Łatwiej przecież znaleźć pomieszczenie zastępcze na przedszkole, niż na szkołę. Dziś za błędy w decyzjach władz płacić muszą dzieci i nauczyciele...

Rodzice walczą o „Narew”, jest jakaś szansa oddać ten pawilon do użytku dzieci we wrześniu, no może w październiku. Pani naczelnik twierdzi, że raczej w końcu roku, ale gdyby tak się stało, można by jakoś do grudnia się pomiczyć w szkolnej ciasnocie. Tylko — czy w ogóle ta koncepcja jest możliwa?

O pawilonie „Narew” zdecydowała rada, bo to rada narodowa musi sfinansować tę inwestycję. Czy zechce? — na to pytanie nikt dziś odpowiedzieć nie potrafi. W każdym razie taki projekt radnym zostanie przedstawiony.

Nie całkiem realne jest pozyskanie jednej z kondygnacji budynku Fabryki Domów. Jest już jego właściciel, ma swoje plany i kto wie, czy zechce wpuścić szkołę. A nawet jeśli zechce — prace adaptacyjne muszą trwać znacznie dłużej niż dwa miesiące.

Rozstajemy się w sytuacji patowej. Rodzice protestują i znanymi sobie metodami szukają protektorów dla swoich koncepcji. Władze chcą dalej rozmawiać ze wszystkimi i obiecują szukać rozwiązania najlepszego, choć — zastrzegają — nie wszystko zależy od dzielnicy, a już na pewno od władzy oświatowej. Tylko nauczyciele z większym niż przed tą dyskusją zrozumieniem podchodzą do sprawy. Są gotowi do niemałych ofiar, nie mnożą oskarżeń, wiedzą, że sytuacja jest ogromnie trudna. Ale nie godzą się też, aby błędy popełniane przez różne osoby czy instytucje mieli naprawiać oni. Po prostu — przy najlepszej nawet woli większych ciężarów, niż te, które mają, oni chyba już nie udźwigną. Również edukacja dzieci w tych warunkach stoi pod znakiem zapytania.

Nas interesuje co innego: kto konkretnie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za ten bałagan? Do konfliktu społecznego w tarchomińskim osiedlu nie mu-

siało wcale dojść. Nie jest dla władz oświatowych tajemnicą, ile dzieci każdego roku wkroczy do szkół. Był czas, aby do tej wyzowej eksplozji 1989 przygotować się znacznie wcześniej, zwłaszcza że istniało kilka wersji rozwiązań. Łatwo było przewidzieć, że odkładanie tej decyzji na ostatnią chwilę grozi konfliktem. Jak zatem zakwalifikować tę taktykę? Brak kompetencji, odpowiedzialności, zdrowego rozsądku, czy dobrej woli? Jakby bowiem na tę sprawę nie patrzeć, termin jej rozstrzygnięcia jest spóźniony o co najmniej 2 lata.

★

Konflikt w tarchomińskim osiedlu jest klasycznym niemal przykładem rozluźnionych więzi między szkołą a domem, braku współpracy na co dzień. Wśród wielu przyczyn tej oziębłości w stosunkach szkoła—dom są i obiektywne; jak każde nowe, peryferyjne osiedle stolicy — i to jest sypialnią dla tutejszych mieszkańców. Szkoła pełni więc rolę przechowalni — i do późnych godzin popołudniowych — jedyne często opiekuna dzieci i młodzieży. W tych środowiskach należałoby budować szkoły przystosowane do funkcji wychowawczych, mające zaplecze gospodarcze, rekreacyjne, kulturalne...

Ale, o czym ja piszę, skoro tym dzieciom i nauczycielom do pracy i nauki zapewniono warunki mniej niż skromne? Z roku na rok wiodło im się coraz gorzej. Ostatni rok pracy to przykład rzadko spotykanej eksploatacji nauczycieli i uczniów, obciążenia ich ponad siły. A przecież nie musiało tak być...

MARIA RYBARCZYK

KREDYT DLA MŁODYCH MAŁŻEŃSTW A KREDYT BANKOWY

Podajemy pracę od 1 września w szkole wiejskiej. Jesteśmy młodym małżeństwem. Interesuje nas, czy możemy wziąć kredyt dla młodych małżeństw i kredyt bankowy dla nauczycieli, czy tylko jeden z nich? Czy kredyt bankowy dla nauczycieli w przypadku małżonków nauczycieli przysługuje obojgu? Prosimy o informację na temat zasad udzielania obu tych kredytów. (Andrzej i Bożena z woj. lubelskiego).

Można się ubiegać o obydwa kredyty. W przypadku kredytu dla nauczycieli przysługuje on każdemu z małżonków.

Kredyt na zagospodarowanie dla młodych małżeństw i osób samotnie wychowujących dzieci udzielany jest: młodym małżeństwom, w którym żaden z małżonków nie przekroczył 35 roku życia, oboje pracują albo jedno z nich pracuje, a drugie wychowuje dzieci lub studiuje. Przysługuje on w okresie roku od daty zawarcia związku małżeńskiego.

Do końca tego roku kredyt może być udzielany młodym małżeństwom niezależnie od stażu małżeńskiego, które otrzymały w 1989 r. pierwsze samodzielne mieszkanie bądź osobną kwatere stałą.

Kredyt można otrzymać tylko raz w kwocie nie większej niż dwudziestokrotna wysokość przeciętnego wynagrodzenia miesięcznego w gospodarce społecznej w roku poprzednim. Przeciętne wynagrodzenie miesięczne ustala się na podstawie obwieszczenia prezesa GUS i stosuje się do określenia wysokości kredytu udzielonego od daty ogłoszenia tego obwieszczenia.

Kredyt jest udzielany w formie gotówkowej. Okres spłaty nie może przekroczyć 3 lat. Zakłady pracy mogą udzielać pracownikowi pomocy w spłacie kredytu, jeśli przepracował on w

tym zakładzie co najmniej 3 lata, wykonuje nienagannie swoje obowiązki oraz jeśli uzasadnia to jego sytuacja materialna.

W tym celu pracodawca może angażować środki zgromadzone w funduszu socjalnym i mieszkaniowym (podstawa prawna: rozporządzenie Rady Ministrów z 24 kwietnia 1989 r. — Dz. Urz. 24).

Szczegółowo o zasadach nabywania i spłaty kredytu bankowego dla nauczycieli pracujących na wsi i w miejscowościach do 5 tys. mieszkańców informowaliśmy w 27 numerze „Głosu”.

JESZCZE O ZMIANIE PRZEPISÓW DOTYCZĄCYCH ROZLICZANIA DELEGACJI

W ostatni „Czytelnicy wtorek” kilka osób prosiło nas o „wyeksponowanie” uproszczeń, jakie nastąpiły przy obliczaniu delegacji według nowych przepisów. Przypomnę, że w numerze 24 „Głosu” przedstawiłam zmiany w rozliczaniu delegacji. Nowe przepisy (uchwała nr 25 Rady Ministrów — MP nr 5 poz. 44) weszły w życie 24 lutego 1989 r. i mają zastosowanie do wszystkich pracowników uspołecznionych zakładów.

Dieta ustalona została w sposób parametryczny w relacji do najniższego wynagrodzenia w uspołecznionych zakładach, określanego corocznie przez Radę Ministrów i wynosi za dobę 7 proc. niniejszego wynagrodzenia (obecnie 17 800 zł). Oznacza to, że obecnie stawka ta równa się 1246 zł). Ryczałt za nocleg ustalono w wysokości 150 proc. diety, czyli 1869 zł. Ryczałt na pokrycie kosztów dojazdów środkami komunikacji miejskiej ustalono w wysokości 10 proc. diety czyli 125 zł.

Ponadto znacznie uproszczono zasady rozliczania delegacji. Na czym to polega? Otóż zmieniono obowiązek załączania biletów za przejazd określonym przez kierownika zakładu środkiem

transportu. Nie ogranicza się możliwości podróżowania I klasą: środek transportu i klasy określa kierownik zakładu. Zmieniono ograniczenia w zakresie korzystania z kolei określonej kategorii. Nie trzeba także potwierdzać pobytu na delegacji.

WLICZANIE DO URLOPU SOBÓT

Czy mogę udzielić pracownikowi administracji (przedszkole) urlopu wypoczynkowego w dwóch częściach tak, aby pierwsza część, czyli dwa tygodnie, kończyły się w piątek, a następne dwa tygodnie rozpoczynały w poniedziałek. (Dyrektorka ZP).

Obawiam się, że w ten sposób nastąpił obejście przepisów rozporządzenia Rady Ministrów z 23 grudnia 1988 r. w sprawie czasu pracy w uspołecznionych zakładach w latach 1989—1992 (Dz. U. nr 42), według których dodatkowe dni wolne od pracy (soboty) przypadające w okresie urlopu wypoczynkowego wlicza się do urlopu, z wyjątkiem dni wolnych od pracy, które przypadają na pierwszy i ostatni dzień urlopu. Udzielenie urlopu w dwóch częściach od poniedziałku do piątku z pominięciem soboty i od poniedziałku w następnym tygodniu byłoby obejściem przepisów.

EMERYTURA I LIMITY ZAROBKÓW DLA NIENAUZCZYCIELI

Czy prawdziwe są informacje, że w tym roku emeryt nienauczyciel może zarobić bez ograniczeń? (Janusz H. — Częstochowa)

Niezupełnie. Od limitowania zarobków osiąganych przez rencistów i emerytów odstąpiono tylko w przypadku osób które osiągnęły: kobieta 60 lat i mężczyzna 65 lat. Pozostali emeryci i renciści nie mogą przekroczyć kwoty 637 080 zł.

ZASIŁKI RODZINNE

Jestem nauczycielką i współwłaścicielką 5-hektarowego gospodarstwa rolniczego. Czy otrzymam zasiłek na dwo-

je dzieci? (L.L.). Czy mam prawo do zasiłku rodzinnego na syna, który podjął studia doktoranckie i otrzymuje stypendium? (J.B.). Otrzymywałam na dziecko 5500 zł. Czy teraz muszę zwracać za trzy miesiące różnicę między obecną stawką zasiłku (5300)? (K.L.)

Od 1 kwietnia weszły w życie nowe zasady wypłacania zasiłków rodzinnych. Odstąpiono od różnicowania zasiłku rodzinnego w zależności od dochodu rodziny. Zasiłek wypłaca się w kwocie 5300 zł miesięcznie na każdą uprawnioną osobę. Obecnie nie ma znaczenia fakt, czy rodzina ma ziemię lub osiąga dochody podlegające opodatkowaniu podatkiem dochodowym.

Zasiłek zostaje wypłacony na uprawnionych członków rodziny (dzieci, rodzice itd. wówczas, jeśli osiągają oni dochody z innych świadczeń w kwocie nie wyższej niż 17 800 zł (najniższe wynagrodzenie pracownicze) w roku 1989. Za dochód uważa się m. in.: wynagrodzenie uzyskiwane na podstawie umowy o pracę, z tytułu umowy zlecenia, agencyjnej i innych cywilnoprawnych, zasiłki z ubezpieczenia emerytury i renty, stypendia doktoranckie, twórcze, dla sportowców, a także zasiłki z pomocy społecznej.

Za dochód nie uważa się natomiast renty rodzinnej i stypendium studentskiego. Rodziny o najniższych dochodach przed wejściem nowych przepisów otrzymywały dodatki wyższe niż 5300 zł. Będą je otrzymywać nadal — do czasu gdy powszechna stawka (czyli „podwyższona” do 5300 zł) zasiłku będzie korzystniejsza.

W przypadku dzieci, które ze względu na stan zdrowia muszą wzywać więcej mięsa — zwiększa się zasiłek o 5300 zł, dla każdego uprawnionego, czyli w sumie otrzymują one 10 600 zł zasiłku (podstawa prawna: rozporządzenie Ministra Pracy z 10 kwietnia 1989 r.).

SPROSTOWANIE

W numerze 24 „Głosu”, do pytania „Prawo do pierwszego urlopu a ekwiwalent pieniężny”, zakradł się przykry błąd. Otóż pytanie winno brzmieć: „Nauczyciel został powołany do odbycia służby wojskowej w listopadzie...”, zamiast pomyłkowo w kwietniu. Zmienia to sens odpowiedzi z negatywnej na pozytywną.

CZEKAMY NA OFIARODAWCÓW

DOM SENIORA DAREM SERCA

Społeczny Komitet Budowy Domu Seniora-Nauczyciela, mając poparcie zarówno Zarządu Okręgu, jak i Zarządu Głównego ZNP, występuje do czytelników „Głosu” z propozycją wspólnej budowy nowoczesnego domu rencisty w Warszawie, zlokalizowanego na obszernej parceli przy ul. Brązowniczej i Kwitnej w dzielnicy Żoliborz-Chomiczówka. Chodzi tu o budowę obiektu opiekuńczego nowego typu. Ma to być jak najbardziej oryginalna, na wskroś humanitarna wizja Domu Seniora-Nauczyciela, w którym, oprócz części mieszkalnej, będzie również część szpitalna w postaci hospicjum jako oddziału intensywnej opieki lekarsko-pielęgniarskiej trwającej ustawicznie przez całą dobę. Odpada zatem konieczność przymusowego wywożenia podopiecznych do domów dla przewlekłych chorych w okresie największej ich słabości psychosomatycznej.

Być może, ktoś z czytelników zapyta w tym miejscu z czego wynika potrzeba budowy tego rodzaju obiektu i to wspólnym wysiłkiem? A oto i nasza odpowiedź.

Zły los, któremu na imię kryzys społeczno-gospodarczy przysporzył nam seniorom wiele zgrzytów dnia powszedniego.

Tak naprawdę nikt z naszego środowiska nie ma możliwości zająć się po ludzku naszymi potrzebami i kłopotami. Bywa też i tak, że młodsze pokolenie, wprężone w korowód życia codziennego, świadomie lub nieświadomie zaniedbuje swoich rodziców czy dziadków. Jest też wielu ludzi samotnych. Ale bywa również i tak, że nasi seniorzy nie chcą być ciężarem dla swego potomstwa nie zawsze ciesząc się wystarczyającym dobrobytem. I tu właśnie tkwi źródło ich niedol i cierpienia...

Kto taki Dom ma nam wybudować w sytuacji, kiedy państwo — niby opiekun — odmawia finansowania tej inwestycji, która sfinansowana jest (według cen prognozowanych) na trzy miliardy złotych?

Nie pozostaje nam więc nic innego, jak budować Dom Seniora-Nauczyciela ze środków społecznych wspieranych środkami budżetowymi. Warto tu wyraźnie podkreślić wielce pomyślny fakt, że dotychczas pozyskaliśmy nie tylko służby inwestycyjne, ale również i wielu orędowników tej wzniosłej sprawy, do których należą przede wszystkim nasi ofiarodawcy z terenu stolicy. A oto i oni, i ich dary serca: Ministerstwo Edukacji Narodowej deklaruje 50 mln zł, Ministerstwo Kultury i Sztuki zapewnia wyposażenie świetlicy, klubu, biblioteki itp.; Stołeczna Komisja Planowania — sfinansowanie kosztów przygotowania założeń technicz-

no-ekonomicznych i dokumentacji technicznej. Huta „Warszawa” — wsparcie materialowe inwestycji (ogrodzenie parceli). Totalizator Sportowy — wstępnie daje 500 tys. zł, Politechnika Warszawska — 100 mln zł, a Uniwersytet Warszawski — 50 — 60 mln zł. Urząd Miasta Zielonki wpłacił na konto 1 mln zł, a Oddział ZNP „Mokotów” — 100 tys. zł. Najwięcej liczymy na Zakład Ubezpieczeń Społecznych (500 tys. — 1 mln zł), a Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej jeszcze się nie wypowiedziało w tej sprawie podobnie jak i pozostałe uczelnie i inne zakłady przemysłowe czy handlowe.

Ponadto są prywatni ofiarodawcy: kol. Irena Raczynska — wpłaciła przed trzema laty ponad 18 tys. zł, Janina Rejmanowa i Sylwia Podkowa — po 500 dolarów. Najbardziej wzruszający jest fakt, że te trzy koleżanki-seniorki wcale nie zabiegają o zamieszkanie w przyszłym domu. Tak po prostu, z dobrego serca obdarzają nas, czym mogą. Ale to jeszcze nie wszystko: kol. Zofia Ruśkiewicz z Podkowy Leśnej — członek Prezydium Komitetu już od pięciu lat — jest przygotowana do przekazania pięknej parceli (5000 m²) pod budowę filii domu dla 80 mieszkańców, a kol. Marian Dumański z Warszawy już od pół roku zapowiada przekazanie testamentem trzyzłotowego mieszkania własnościowego. A to są już wielkie pieniądze godne wielkiego celu.

Rzecz w tym, by brakujące fundusze zebrać i to w trybie pilnym, gdyż według inwestora budowa Domu Seniora-Nauczyciela może się rozpocząć jeszcze w tym roku, pod warunkiem zgromadzenia wystarczających środków na realizację. Przy tej okazji pragniemy przypomnieć, jak to w okresie międzywojennym nasza generacja własnymi „cegielkami” budowała wspaniałe sanatoria w kilku miejscowościach i gmachy ZNP w Warszawie. Przykład godny polecenia. Wówczas nikt nie myślał o budowie obiektów opiekuńczych, gdyż istniały prawidłowo funkcjonujące rodziny wielopokoleniowe, które w sposób zadowalający rozwiązywały do końca problem starości. Tam zawsze znajdowało się miejsce dla dziadka i babuni.

Dziś dla tych wszystkich osamotnionych i zapomnianych jedynym ratunkiem jest właśnie wspólny dach nad głową z własnym zapleczem żywienia, opieką medyczno-rehabilitacyjną, rozrywkami rekreacyjno-towarzyskimi i obrzędami religijnymi, a więc taki, w którym podopiecznym będzie się żyło nie tylko spokojnie i bezpiecznie, ale także godnie.

Apelujemy zatem — w imię wielkiej sprawy — do organizacji związkowej, rad pedagogicznych i administracji szkolnej oraz do ludzi dobrej woli, nauczycieli akademickich, nauczycieli i wychowawców oraz pracowników placówek naukowo-pedagogicznych o znaczące wsparcie finansowe. Jak wskazuje praktyka, sama stolica nie udźwignie tego ciężaru. Liczymy tu na ruch masowy całego środowiska nauczycielskiego, a więc na koleżanki i kolegów tak czynnych, jak i w stanie spoczynku. Z podobnym apelem zamierzamy wystąpić również do NZZ „Solidarność” i OPZZ, do administracji kościelnej i parafii w stolicy.

Nowoczesny model naszego domu nadaje się do nieograniczonego powielania w różnych wielkościach i w różnych miejscowościach. Do dyspozycji zainteresowanych oddajemy m. in.: założenia programowo-funkcjonalne, koncepcję architektoniczną oraz założenia techniczno-ekonomiczne i dokumentację techniczną.

Inwestycji naszej patronuje resort edukacji narodowej, a funkcję inwestora pełni Kuratorium Oświaty i Wychowania. A oto konto bankowe inwestora: NBP 0/0 w Warszawie 1052-13912-189/85 Kuratorium Oświaty i Wychowania — Zespół Scentralizowanej Obsługi Finansowo-Księgowej i Gospodarczej, Warszawa, ul. Gęsta nr 1.

Za przyszłe dary i dobre chęci z góry serdecznie dziękujemy! Będąc prywatnie w stolicy możecie, koledzy i koleżanki, liczyć na naszą gościnność.

WALENTY DOBROWOLSKI
przewodniczący
Komitetu Budowy

NOWOŚCI NADESLANE

LITERATURA PIĘKNA

Bohdan Królikowski: **BEZ AMARAN-TÓW** WL, Kraków 1989, s. 260, cena 780 zł.

Anna Gagarina: **PAMIĘĆ SERCA**. LSW, Warszawa 1989, s. 351, cena 750 zł.

Wole Soyinka: **INTERPRETATORZY**. LSW, Warszawa 1989, s. 263, cena 750 zł.

Maria Ziolkowska: **SZCZODRY WIECZÓR, SZCZODRY DZIEŃ**. LSW, Warszawa 1989, s. 266, cena 470 zł.

Rabindranath Tagore: **DOM I ŚWIAT**. LSW, Warszawa 1989, s. 208, cena 480 zł.

Witold Koehler: **DRZAZGI I SZYSZKI, CZYLI LOSY NIEKTÓRYCH SYNÓW SYLWANA**. LSW, Warszawa 1989, s. 208, cena 950 zł.

Irena Ciołłńska: **PO PROSTU MIALAM SZCZĘŚCIE**. WL, Kraków 1989, s. 122, cena 460 zł.

Roman Bratny: **„JEŻELI ŻYJESZ” I INNE OPOWIADANIA**. WL, Kraków 1989, s. 364, cena 1240 zł.

Konrad Strzelewicz: **Z TAŚMY**. WL, Kraków 1989, s. 158, cena 450 zł.

HISTORIA

Władysław Steblik: **ARMIA „KRAKÓW” 1939 R. MON**, Warszawa 1989, s. 774, cena 4900 zł.

Olgierd Cumft, Hubert Kazimierz Kujawa: **KSIĘGA LOTNIKÓW POLSKICH POLEGŁYCH I ZAGINIONYCH 1939—1946**. MON, Warszawa 1989, s. 564, cena 4900 zł.

WSPOMNIENIA, OPRACOWANIA

Bohdan Arct: **NIEBO W OGNIU. MON**, Warszawa 1989, s. 321, cena 980 zł.

Praca zbiorowa: **SPÓR O SF**. Antologia szkiców i esejów o science fiction. Wyd. Poznańskie, Poznań 1989, s. 428, cena 950 zł.

Róża Fiszman-Sznajdman: **MÓJ LUBLIN**, Wyd. Lubelskie, Lublin 1989, s. 210, cena 1200 zł.

Andrzej Stanisławski: **NASZ KOCHANY KOCHANOWSKI**. LSW, Warszawa 1989, s. 254, cena 450 zł.

POMOCNICZE

Zbigniew Stein: **MASZYNY I NAPĘD ELEKTRYCZNY**. WSIP, Warszawa 1989, s. 386, cena 955 zł.

Zbigniew Słowiński: **TECHNOLOGIA BUDOWNICTWA**. WSIP, Warszawa 1989, s. 156, cena 468 zł.

Krzysztof Tauszyński: **DOKUMENTACJA BUDOWLANA NR 3**. WSIP, Warszawa 1989, s. 126, cena 350 zł.

Praca zbiorowa: **MATEMATYKA W SZKOLE ŚREDNIEJ. T. 3**. WSIP, Warszawa 1989, s. 440, cena 1200 zł.

Zygmunt Wasilewski: **RYSUNEK ZAWODOWY. INSTALACJE SANITARNE I RUROCIĄGI PRZEMYSŁOWE**. WSIP, Warszawa 1989, s. 288, cena 610 zł.

Józef Bartosiewicz: **TECHNOLOGIA DLA MECHANIKI OBRÓBK SKRAWA-**

NIEPI WS.P. Warszawa 1989, s. 393, cena 800 zł.

ROŻNE

Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska: **FIRMA PORTERETOWA STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA**, WL, Kraków 1989, s. 54, cena 290 zł.

Karol Jackowski: **PODBIJANIE AMERYKI**. LSW, Warszawa 1989, s. 176, cena 360 zł.

Maksymilian Berezowski: **AMERYKA PIĘKNYCH SNÓW**. KIW, Warszawa 1989, s. 236, cena 800 zł.

Branko Ćiprić: **PRZEWODNIK PO JUGOSŁAWII**. SIT, Warszawa 1989, s. 460, cena 3100 zł.

Barbara Arusztowicz: **DZIECKO KALEKIE JAKIEGO NIE ZNAMY**. WSIP, Warszawa 1989, s. 139, cena 300 zł.

OGŁOSZENIA DROBNE

Mgr filologii polskiej (10 lat pracy), logopeda dyplomowany podejmie pracę — chętnie w ośrodku sanatoryjnym. Warunek — mieszkanie rodzinne z wygodami. Wydawnictwo Współczesne 00-490 Warszawa ul. Wiejska 12 Biuro Ogłoszeń dla nr 299.

Nauczyciel (mgr) matematyki, języków poszukuje pracy. 97-140 Koluszki, skrytka 41. 301

Nauczycielka, mgr geografii, praktyka także w nauczaniu początkowym, 8-letni staż — szuka pracy z mieszkaniem. Wydawnictwo Współczesne 00-490 Warszawa ul. Wiejska 12 Biuro Ogłoszeń dla nr 302.

Nauczycielka nauczania początkowego (SN, dwuletni staż), mężatka, poszukuje pracy z mieszkaniem rodzinnym Ewa Wojciechowska, Kaszewska Wola 11, 26-806 Stara Błotnica woj. radomskie. 300

„DOROTA” Polonia 68-206 Mirosławice. Oferty matrymonialne biur krajowych, zagranicznych. 232

HALSZKA ŻARY SKRYTKA 12 kofarzy małżeństwa krajowe, zagraniczne. 230

Sztandary wykonuje od 1952 r. wyspecjalizowana Pracownia „HAFT ARTYSTYCZNY” mgr inż. Henryk Kiedzik, ul. Kościuszki 76 m 4 61-892 Poznań, tel. 52-02-14. 54

Tarcze szkolne wykonuje. Janusz Rugień, ul. Osiedlowa 33 Toruń. 190

Układanie, cyklinowanie, lakierowanie parkietów w szkołach, przedszkolach na terenie całego kraju. Lakier absolutnie nie toksyczne — atest PZH. Gwarantowana wysoka jakość usługi oraz krótki okres wykonania od chwili rozpoczęcia. Zbigniew Węgrzyn, ul. Tolstoja 13/47, 43-100 Tychy. 41

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA w Prasce

ZATRUDNI

z dniem 1 września 1989 r.

małżeństwo o specjalnościach:

- muzyk + muzyk lub
- muzyk + polonista.

Zapewnia się 3-pokojowe mieszkanie w Domu Nauczyciela w Stroju.

K 295

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 1 WSPÓLNOTY WĘGLA KAMIENNEGO w Chorzowie-Batorym 41-506 Chorzów-Batory, ul. Sportowa 23, tel. 412-392, 415-037

ZATRUDNI

od 1 września 1989 r.

- MGR INŻ. ELEKTRYKA

do nauczania przedmiotów elektrycznych w pełnym wymiarze godzin.

Oferty należy przesyłać pod adresem szkoły lub zgłaszać telefonicznie.

K 296

TYGODNIK ZNP ODZNACZONY



KRZYŻEM
KOMANDORSKIM
ORDERU
ODRODZENIA
POLSKI



ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP



MEDALEM
KOMISJI EDUKACJI
NARODOWEJ



KRZYŻEM
ZA ZASŁUGI
DLA ZHP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kier. działu związkowego), Magdalena Grochowska, Lidia Jastrzębska (II sekr. red.), Maria Kalinowska (sekr. red.), Teresa Konarska (kier. działu listów i interwencji), Jerzy Krasniewski (kier. działu polityki oświatowej), Barbara Kozarska (red. techn.), Bożena Niedziółka-Szczypińska, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarska (z-ca redaktora naczelnego), Witold Salasinski Wojciech Sierakowski (kier. dz. nauki i szk. wyższego), Henryk Witalowska (kier. działu kultury i wychowania), Zdzisław Nowak (kier. działu graficznego), Jan Rocki, Marek Suchecki (fotoreporter), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Małgorzata Gościńska, Małgorzata Pońnik.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa Telefon: centrala 26-10-11 oraz 26-34-20, 27-66-30.

WARUNKI PRENUMERATY:

Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach Instytucji i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną — zamieszkał na wsi i w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 20, 00-958 Warszawa, konto PKO XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do 10 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz na cały rok następny.

— do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumeraty krajowej na 1989 r.: kwartalnie — 650 zł, półrocznie — 1300 zł, rocznie — 2600 zł.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 28-24-11, wew. 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 800 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższej; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 400 zł; kredytowe: komunikaty — 1000 zł, pracownicy poszukiwani — 1000 zł, nekrologi — 600 zł, reklamy — 1000 zł za 1 cm kwadratowy.

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: Państwowy Bank Kredytowy — III O/Warszawa, nr rachunku 370015-5223 139-11.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/84.

Nr indeksu 35 923
PI ISSN 0017 1263
Zam. 1312 A-38

DYREKTOR ZESPOŁU SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 1

w Bełchatowie

ZATRUDNI

małżeństwo nauczycielskie o specjalności

- wychowanie fizyczne

Mieszkanie w nowym budownictwie w 1990 r. Chwilowo mieszkanie w hotelu.

K 294

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓŁ ZAWODOWYCH

w Pniewach k/Poznań,
ul. Wolności 10, tel. 169

ZATRUDNI

małżeństwo nauczycielskie o specjalnościach:

- mgr filologii polskiej oraz mgr wychowania fizycznego.

Zapewniamy mieszkanie rodzinne.

K 297

ZESPÓŁ SZKÓŁ ZAWODOWYCH FABRYKI SAMOCHODÓW OSOBOWYCH IM. 2 WARSZAWSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

ul. Stalingradzka 55
03-215 Warszawa

ZATRUDNI

nauczycieli z wyższym wykształceniem do nauczania przedmiotów:

- języka polskiego,
- fizyki,
- kultury fizycznej,
- przysposobienia obronnego,
- kierownika świetlicy ze specjalnością pedagogika opiekuńcza.

Istnieje możliwość uzyskania kwatery prywatnej. Szczegółowych informacji udziela Dyrekcja Zespołu Szkół Zawodowych FSO, tel. 11-23-18.

K-291

DYREKCJA ZASADNICZEJ SZKOŁY GÓRNICZEJ KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO „MAKOSZOWY”

w Zabrze

ZATRUDNI od 1989.09.01

- nauczycieli etatowych w pełnym i niepełnym wymiarze godzin pracy

- mgr wychowania fizycznego
- mgr inżyniera górnika
- wychowawców internatu
- instruktorów zajęć pozalekcyjnych

- nauczycieli zawodu o specjalnościach:

- elektryk (1 osoba),
- stolarz obróbki drewna (1 osoba),
- ślusarz (1 osoba),
- mechanik lub operator maszyn i urządzeń mechanicznych przeróbki węgla (2 osoby).

Informacji udziela Sekretariat Warsztatów Szkolnych codziennie w godz. od 7.00 do 14.00, nr tel. 77 39-95.

Zasadnicza Szkoła Górnicza KWK „MAKOSZOWY” w Zabrzu, ul. 3-go Maja 115.

K-298

BYŁO FAJNIE!

Jeszcze w Krakowie — trochę przez przypadek, trochę z ciekawości przyłączyłam się do wycieczki licealistów, którzy wraz z wychowawcą przyjechali do prastarego grodu, niektórzy po raz pierwszy. Pokonał ponad 400 kilometrową trasę — nocnym pociągami, bez rezerwowanych miejsc — aby wreszcie odwiedzić dawną stolicę Polski i z bliska obejrzeć cud Wawelu. Humory dopisywały, zaintrygowanie miastem było ogromne, na twarzach nastolatków ani krztu zmęczenia uciążliwej nocnej podróży.

Zawarliśmy znajomość w parku, kiedy właśnie naradzali się, gdzie by tu najwygodniej zjeść śniadanie. Przewagę nad ławką w parku miał bar mleczny, dokąd się udaliśmy. Każdy za własne pieniądze kupił to, co akurat „rzucił”: bułki z serem i kefir tak wszystkim posmakowały, że niektórzy wzięli „repete” i zgodnie postanowili wracać tu częściej.

Wyjeżdżamy rozochotnieni, a entuzjastą był jeszcze większy, kiedy się okazało, że do godz. 15.30 wycieczka ma czas wolny. Coś trzeba było jednak zrobić, więc wychowawca zaproponował kino. Dwie godziny odpoczynku po męczącej nocy — skusilo. Pojechaliśmy do kina. Z bagażami, torbami pełnymi rupciactwami, ciężkimi ponad miarę.

Wieczorem wreszcie znaleźliśmy się w hotelu. Dziewczeta i chłopcy wyjęli z toreb puszki z rybkami i stoiki z dżemem. Mieli też zapakowane przez troskliwych mamę bułki z masłem. Skąd ta przesorność? Ano, wycieczka zaplanowana na 4 dni, nie miała zapewnionych śniadań i kolacji. Wyjaśniła się więc tajemnica wypchanych i przyciętych toreb. Dzwignął je do godz. 14.00, kiedy zaczęła się doba hotelowa i można było ciężary zostawić w pokojach.

Pierwszy dzień był ciężki ale i atrakcyjny — zwiedzili Wawel i mieli hotel. Drugi

gi okazał się łatwiejszy, ale party. Zwiedzali miasto, a kiedy nogi wystędy — poszli do kina. Odpoczął, a przy okazji coś zobaczył.

W programie tego i następnego dnia przeważał... czas wolny. Dziewczeta szalały z radości — „obskoczyły” wszystkie sklepy, porobiły zakupy w butikach; przymierzały różne błyskotki, podziwiałały, informowały się nawzajem co i gdzie taniej kupić, a czego kupować nie warto.

Pogoda dopisywała, więc miło upłynęło gromadne chodzenie na lody i ciastka, picie wody sodowej na ulicy.

Przed nami były jeszcze dwie atrakcje: zoo i wyjazd w dniu następnym, po południu. Przenosin do internatu na drugą noc nie liczę, choć w pustym dniu to także atrakcja.

Kalizyliśmy zwiedzanie zoo i jeszcze trzy sesje filmowe — razem pięć. Ten piąty był w ostatnim dniu przed południem, bo po południu wszyscy byli podróżni do domu. Byli trochę zmęczeni i wyraźnie wygłodzeni. Skończyły się co lepsze zapasy, przez ostatnie dwa dni niektórzy wieczorne posiłki ograniczyli do dżemu. Kasia, z którą obcowałam częściej, wyznała, że ma dżemu powyżej dziurek w nosie i do końca życia do ust go nie weźmie.

Przy pożegnaniu wyznała z żalem, że gdyby nie Wawel wycieczka byłaby stratą czasu. Ale w sumie — powiedziała — było fajnie. Niekrepująco. To, że w pociągu zdobyli tylko 5 miejsc siedzących i syczy się perspektywa nocy na stojąco, nie pogorszyło humorów. Bo ta męcząca noc to także kawałek przygody. Lepsze to i atrakcyjniejsze niż szkoła. A wracali jeszcze na tydzień do swojej kochanej, ale nudnej, budy.

(NIE TYLKO) WAKACYJNE KUSZENIE

HENRYKA WITALEWSKA

TWOJĄ SZANSĄ „SAKSY '89”

Z całą pewnością nie mają racji ci, którzy utrzymują, że nasze gazety zawierają tylko rzeczy przynębiające i wielce pesymistyczne. Wręcz przeciwnie, nigdzie indziej nie można przeczytać tylu informacji krzepiących i kuszących, co właśnie w „Saksach”.

To prawda, że każdy numer dowolnie wybranej gazety zdominowany jest przez artykuły mówiące o zatruciu środowiska, o strajkach, zadłużeniu, coraz dłuższych kolejkach w sklepach, ale jednocześnie ile tu atrakcyjnych radujących serce, wieści i obwieszczeń. Pomijam już takie, które zapraszają na Sessle i Jamaikę, a zatrzymam się na skromniejszych i bardziej dostępnym, a także takich, które znajdują się w zasięgu ręki.

Oto „Złotokop” informuje: „Pieniądze leżą także na Twojej ulicy! Młotem sposobu łatwego, uczciwego, szybkiego zarobku znajdziesz w „Poradniku Krajowego Zespołu Doskonalenia Finansowego”. W tym samym numerze gazety młodzieżowej czytamy: „Szukasz pracy na Zachodzie, twoją szansą informator „Saksy '89” na cały rok”. Co ciekawsze — szansa ta kosztuje tylko 4900 zł (na salenie pocztowym)...

Z kolei „Express Wieczorny” informuje o wyjątkowej okazji, która nadarza się tylko do 31 lipca. To sprzedaż z bonifikatą szczególnie pożądanymi przedmiotami, jakimi są wciąż u nas telewizory kolorowe. Z tą wspaniałą propozycją występuje oczywiście „Power”, proponując 40 dolarów bonifikaty na telewizory Sony i Philips, i 30 dolarów — na aparaty Panasonic i Sanyo. No i 20-procentowe bonifikaty na książki i najrozsądniejsze fatalizmy; nie, tylko biec do najbliższego sklepu „Paxa”. Zwłaszcza że teraz dolary do nabycia niemal w każdym kantorze wymiany walut.

Ale i dla tych, którzy bardziej cenią inne niż waluty i dobra materialne, wartości, prasa codzienna ma pomysły wieści. „Czy znasz siebie?” — zapytuje na przykład „Express Wieczorny” — i odpowiada natychmiast: „W kursie medytacji odnajdziesz siebie i dowiesz się, kim naprawdę jesteś”. Oto propozycja godna naszych, tak bardzo spragnionych wiedzy na swój temat esadów i bez wątpienia — wiele pań a także panów — zechce z niej skorzystać.

Tylko do pań skierowane jest ogłoszenie Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych, który „zatrudni kobiety w wieku do 35 lat z wykształceniem wyższym prawniczym” (obiecując przy tym wzrost uposażenia już w czasie próbnym)... Złoda więc, że nie każda z nas może się poszczycić dyplomem odpowiedniego fakultetu, no i wymagana tu granica wieku...

Wszelkich propozycji jest jednak multum i każdy może znaleźć dla siebie coś odpowiedniego. Bo nie tylko specjalistów kuszą super korzystnymi propozycjami. Na przykład również i przed uczniami rysują się znakomite perspektywy. Oto w „Trybunie Ludu” reklamuje się Zasadnicza Szkoła Górnicza Kopalni Węgla Kamiennego w Knurowie, która (tzn. macierzysta kopalnia szkoły) obok pomocy materialnej (jak to nazwano) i pożyczki bezzwrotnej, zapewni także uczniom: w klasie pierwszej — kurtkę, garnitur, buty wyjściowe, dwie koszule, krawat i beret, zaś w klasie drugiej — garnitur, buty, dwie koszule i beret. Każdy przyzna, że jest to dziś piękna wyprawa — zastanawiam się tylko, który z przyszłych górników — w tej konkretnej sytuacji (w klasie pierwszej — także kurtka, buty wyjściowe i krawat) będzie się starał o promocję do klasy drugiej?

Mniejsza jednak o to — ważne, że szansę mamy wszyscy. I to jakie!

